



Cara Colter



Azył w górach

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tego dnia funkcjonariusz Brody Taggert miał paskudny humor.

- No dobra, możemy złożyć wizytę pannie Lili Grainger - mruknął.

Jego suka Buba, zdrobniale Bu, która leżała wyciągnięta na tylnym siedzeniu radiowozu, zaszczekała na znak zgody.

Zważywszy na jego nastrój, pewnie nie jest to najlepszy moment na składanie wizyt komukolwiek, a zwłaszcza nowej mieszkance Snow Mountain, początkującej pisarce, właścicielce sklepu i siostrzenicy szefa w jednej osobie. Właśnie z powodu jej pokrewieństwa z Paulem Hutchinsonem, zwanym przez wszystkich Hutchem, Tag nie mógł odmówić. Prawdę rzekłszy, otrzymał rozkaz, aby się do niej udać.

Hutch był z natury łagodnym człowiekiem, lecz zdenerwował się, usłyszawszy, że Tag przegapił wczorajsze zebranie grupy Ratujmy Święta w Snow Mountain.

- Ta mała coś knuje - powiedział. - To cwana bestia, zupełnie jak jej matka, a moja siostra. A ty, psiakrew, opuściłeś zebranie, więc poruszamy się po omacku.

Po omacku to trafne określenie, pomyślał Tag. Albowiem rada miejska postanowiła zgasić w miasteczku światła. Nie, nie latarnie, tylko oświetlenie świąteczne. A to oznacza, że nie będzie tradycyjnej świątecznej ekspozycji w parku Bandstand przy końcu Main.

Każdego grudnia od 1957 roku park zamieniał się w Pracownię Świętego Mikołaja. Mechaniczne skrzaty pakowały prezenty, między drzewami baraszkowały renifery, brzuchaty Mikołaj machał do ludzi, wołając „Ho, ho, ho!”. Niestety zarówno skrzaty, jak i renifery miały już ponad pięćdziesiąt lat; wyczerpała się ich żywotność.

Mikołajowe ho-ho-ho pobrzmiwało w zwolnionym tempie, a w zeszłym roku jeden z elfów stanął w ogniu. Ktoś nagrał telefonem komórkowym przerażone dziecko płaczące na tle płomieni. I tak cały kraj usłyszał o miasteczku Snow Mountain w stanie Waszyngton.

Od stycznia trwały zażarte dyskusje na temat przyszłorocznej ekspozycji. Na październikowym zebraniu w ratuszu radny Leonard Lemoix, który bynajmniej nie należał do faworytów Taga, przedstawił szczegółową kalkulację. Otóż za pieniądze przeznaczo-

ne na naprawę figurek oraz trzykrotne ustawienie i rozmontowanie ekspozycji - pomijając rachunek za elektryczność - miasto mogłoby kupić nowy radiowóz.

Radni jednogłośnie podjęli decyzję: koniec ze świąteczną ekspozycją.

- Oczywiście siostrzenica uważa, że to wszystko moja wina - oznajmił nazajutrz po zebraniu Hutch - a ja nie miałem pojęcia o żadnym radiowozie. W każdym razie postanowiła powołać Komitet Ocalenia Świąt. Wiesz, co mi powiedziała? „Chcesz, wujku, żeby Snow Mountain przeszło do historii jako miasteczko, w którym skasowano święta?”

Właśnie wtedy Tag dowiedział się o swoim udziale w Komitecie.

- Nie możemy pozwolić, aby ludzie mieli nas za bezdusznych drani, którym zależy wyłącznie na nowym radiowozie - dokończył Hutch, którego troska o dobry wizerunek policji dziwnym trafem zbiegła się z przybyciem do miasteczka siostrzenicy.

Panna Lila mieszkała dotąd w Miami i była bardzo wyczulona na punkcie poprawności politycznej.

Tag, który żywił coraz większą niechęć do nieznanego sobie siostrzenicy szefa, nie zaprotestował, nie spytał: Dlaczego ja? Wiedział dlaczego: choć pracował w policji sześć lat, miał najkrótszy staż. Wprawdzie starsi koledzy już dawno przestali go traktować jak żółtodzioba, ale wciąż dostawał zadania, do których nikt inny się nie rwał.

Do takich należał udział w Komitecie Ocalenia Świąt. A on, psiakrew, opuścił pierwsze zebranie. Nie tłumaczył się szefowi, dlaczego nie poszedł; wolał słuchać wściekłej tyrady Hutch'a, niż widzieć jego współczującą minę. Na współczujące twarze napatrzył się po śmierci swojego młodszego brata Ethana. I dość. Basta.

Wiedział jednak, że nie wykręci się od rozmowy z panną Grainger, chyba żeby zdarzył się napad na bank, a na to się nie zanosilo. Zaklął pod nosem. Psisko zaskomlało, wyczuwając ponury nastrój swego pana.

- To nie twoja wina, Bu.

Chryste, dopiero minęło Halloween! Do Bożego Narodzenia zostało jeszcze z siedem tygodni! Owszem, ucieszył się, kiedy radni zagłosowali przeciwko świątecznej ekspozycji w parku. I nie, wcale nie dlatego, że za zaoszczędzone pieniądze miasto mogłoby kupić nowy radiowóz.

Po prostu jako stróż prawa Brody Taggart widział również ciemną stronę świąt, o jakiej nie pisano w kolorowych pismach. Dla większości ludzi, z którymi się stykał, okres między Świętem Dziękczynienia a Bożym Narodzeniem był czasem wzmożonego picia, alkohol zaś prowadził do kłótni, bójek, przemocy domowej, wypadków samochodowych, hipotermii, rozpadu biznesu, małżeństwa, relacji z ludźmi.

Zdaniem Taga w czasie świąt biedni stawali się jeszcze biedniejsi, podli podlejsi, samotni bardziej samotni, a nieszczęśliwych ogarniała rozpacz.

Natomiast ci, którzy tak jak on doświadczyli straty, w okresie świąt przeżywali tę stratę od nowa. W tym roku Tag miał spędzić siódme święta bez brata. Ludzie zapewniali go, że czas leczy rany, ale jakoś nie mógł w to uwierzyć; każdego roku bolało równie mocno. Czuł w sercu pustkę, która na skutek ogólnego ożywienia wokół zdawała się pęcznieć z godziny na godzinę.

No ale Lila Grainger o tym nie wiedziała. Żyła w innym świecie, w świecie radosnym, pozbawionym trosk. Uzmysłowił to sobie, kiedy trzy dni temu otrzymał od niej mejla zatytułowanego „Ocalmy święta w Snow Mountain” - na różowej papeterii tańczyły Mikołaje, niżej widniało zaproszenie na zebranie wraz z zachętą: będzie poczęstunek w postaci kieliszka pysznego ajerkoniaku i słynnych ciasteczek Jeanie Harper.

Najbardziej zirytowały Taga te tańczące Mikołaje. Ale naprawdę zamierzał się wybrać, nie tylko dlatego, że szef mu kazał. Przynętą były wyśmienite ciasteczka Jeanie, którym nigdy nie potrafił się oprzeć, zwłaszcza wtedy, gdy polewała je czekoladą, a zimą zwykle tak robiła.

Nie wybrał się z bardzo prozaicznej przyczyny: otóż wczoraj po południu musiał zawieźć Bubę do kliniki weterynaryjnej w Spokane. Zebranie zaczynało się o siódmej. Gdyby chciał, zdążyłby na nie. Ale po usłyszeniu słów: „Będiesz wiedział, kiedy czas nadejdzie”, nie mógł zostawić psa samego w domu.

Był człowiekiem, który niejedno w życiu widział i który doskonale potrafił kontrolować emocje. Podejrzewał jednak, że wczoraj by mu się to nie udało, dlatego wolał nie ruszać się z domu. Nawet ciasteczka Jeanie go nie skusiły. Spędził wieczór na kanapie, z Bu na kolanach, oglądając mecz hokejowy i starając się uspokoić po diagnozie, jaką weterynarz mu przekazał.

Buba umierała, a Buba była nie tylko psem, także łącznikiem z przeszłością, z Ethanem, z życiem. To ona, nie czas, pomogła Tagowi stanąć z powrotem na nogi.

Jednej rzeczy Tag nie przewidział: że szef tak szybko zareaguje na jego nieobecność na zebraniu. Hutch wezwał go z samego rana i kazał włączyć się w akcję ocalania świąt.

Tag był pewien, że gdyby przestudiował umowę o pracę, nie znalazłby słowa o tym, iż do jego obowiązków należy uczestnictwo w jakichś akcjach podejmowanych przez członków rodziny szefa, nawet jeśli te akcje mogą, jak twierdził Hutch, polepszyć wizerunek policji.

Dotychczas policjanci dbali o swój wizerunek w nieco inny sposób: uśmiechali się do małych dzieci, nosili wyprasowany mundur i wypastowane buty, jeździli czystym radiowozem. Tagowi to odpowiadało.

Podejrzewał, że w umowie o pracę nie znalazłby też słowa o tym, że za odmowę wykonania polecenia ma sprzątać cele. Hm, z drugiej strony to właśnie Hutch po śmierci Ethana wyciągnął do niego pomocną dłoń i zaproponował mu pracę w policji, kiedy on, pogrążony w czarnej rozpacz, powoli staczał się na dno.

Hutch wiedział też, choć nigdy się z tym nie zdradził, jak wiele Tag zawdzięcza Bubi. Dlatego nie protestował, że pies jeździ w radiowozie.

Tag skręcił w Main. Zmierzchało. Wiał zimny listopadowy wiatr, podrywając z ziemi suche liście i gazety. Ulica, która pamiętała lepsze czasy, z każdym rokiem wyglądała coraz bardziej żałośnie. Na dawnym sklepie Tilleya co najmniej od dziesięciu lat widniał nabazgrany na szybie napis: „Zwijamy interes”. W szyldzie drogerii paliło się tylko kilka liter. Latem turyści wchodzili zaciekawieni, co też tu sprzedają. Zimą turystów nie było. Ale panna Grainger miała nadzieję to zmienić.

Jej zdaniem, wyrażonym w różowym mejlu, nowa wyremontowana Pracownia Świętego Mikołaja ściągnie do Snow Mountain tabuny gości. Miasteczko stanie się swoistą mekką.

Patrząc na ponury obraz Main, na nieczynne sklepy i wypalone neony, nie bardzo w to wierzył. Snow Mountain daleko było do pełnych uroku małych miasteczek na amerykańskiej prowincji.

Tag zadumał się; właściwie brakowało mu jaskrawych światełek i kiczowatych figurek w parku na końcu ulicy.

Sklepek Lili Grainger lśnił niczym brylant. Liczący ponad sto lat budynek, który został niedawno poddany piaskowaniu, znów miał ściany w kolorze kości słoniowej. Nad drzwiami wisiał gustowny czerwono-zielono-biały szyld z napisem „Pod Jemiołą”, a niżej, wykonane mniejszymi literami, słowa: „Świąteczny butik”.

Święta. Jemioła. Podobno Lila Grainger zainwestowała w sklep zaliczkę za książkę. Nic dziwnego, że zależało jej na ocaleniu Pracowni Świętego Mikołaja.

Kiedy podpisała umowę na książkę o tematyce świątecznej, dumny Hutch gotów był wykupić ogłoszenie w gazecie, żeby się pochwalić siostrzenicą. Potem, nieoczekiwanie, Lila podjęła decyzję o przeprowadzce z Florydy do Waszyngtonu i zainwestowała pieniądze w stary, zniszczony budynek na Main.

W oknie wystawowym Tag ujrzał widok, jakiego mógł się spodziewać po osobie piszącej różowe mejle z tańczącymi Mikołajami. Stało tam świątecznie przystrojone miniaturowe miasteczko, przez które przejeżdżała, pogwizdując, miniaturowa ciuchcia.

W oknie po drugiej stronie drzwi stała dwumetrowa choinka udekorowana na fioletowo.

- Zaraz mi głowa pęknie z bólu - powiedział Tag do psa, sięgając po kapelusz.

Buba zaskomlała.

- Masz zostać w samochodzie.

Psina, zawsze posłuszna, tym razem zignorowała słowa swojego pana, przeskoczyła na przednie siedzenie i gdy tylko Tag otworzył drzwi, przecisnęła się na zewnątrz. Usiadła na chodniku i energicznie merdając ogonem, patrzyła wyczekująco.

Chryste, nigdy wcześniej nie pomyślał, że zwierzęta też chorują na nowotwory. Bu była najbrzydszym psem świata. Sierść miała koloru błota, łeb doga, tułów shar peja, nogi jamnika. Czy wielki ciężki łeb osadzony na pomarszczonym tułowiu zakończonym krzywymi, krótkimi nóżkami mógł się komuś podobać?

Owszem. Tagowi.

Tag westchnął ciężko. Po wizycie u weterynarza zdał sobie sprawę, że w tym roku święta Bożego Narodzenia będą jeszcze bardziej posępne. Trudno. Nie znał leku na poprawę humoru.

Przez moment zrobiło mu się żal Lili Grainger. Może jednak zawrócić? W tak paskudnym nastroju nie powinien się z domu ruszać. Za późno. Zastanawiał się, czy wepchnąć psa z powrotem do radiowozu. Uznał, że nie. Bu odznaczała się niesamowitą intuicją; bezbłędnie odróżniała dobrych ludzi od złych. Jego czasem jakiś przebiegły drań potrafił oszukać. Zresztą nie tylko drań; również dziewczę o niewinnej twarzy, siwowłosa staruszka w rogowych okularach, speszony młodzieniec. Ale nie Bube; ona każdego umiała przejrzeć na wylot. Niechęć lub podejrzliwość wyrażała zjeżeniem sierści. Sympatię - najgłupszym uśmiechem na świecie. Tag nigdy nie podważał jej oceny.

W porządku, pomyślał. Zobaczmy, jak suka zareaguje na siostrzenicę szefa. Nie żeby miał jakiegokolwiek podejrzenia w stosunku do panny Grainger; przecież wcale jej nie znał, nie miał pojęcia, jak wygląda. Nie wiedział też, dlaczego tak nagle postanowiła wynieść się z Miami. Szef był potwornym gadułą - kiedy Lila podpisała umowę z wydawnictwem, wszystkim o tym opowiadał - ale aż do przyjazdu siostrzenicy nikomu słowem nie wspomniał o jej planach zamieszkania w Snow Mountain.

Na drzwiach wisiała tabliczka zakazująca wstępu psom. Ignorując ją - wszyscy w Snow Mountain wiedzieli, że Bu ma więcej ludzkich cech niż psich - nacisnął klamkę i wszedł do środka. Powitał go dzwonek, taki jak przy saniach, a w nozdrza uderzył zapach mięty, cynamonu, placka z dyni, korzennych przypraw, sosny.

Świąteczne aromaty. Przywodziły na myśl beztroskie dni, za którymi tęsknił. Oczami wyobraźni ujrzał Ethana, mniej więcej sześciolatniego, który wyciąga spod choinki kolorowe pudło, zrywa opakowanie i piszczy z radości na widok kolejki, niemal identycznej jak ta w oknie wystawowym.

Po chwili otrząsnął się. Bing Crosby śpiewał kolędę, wszędzie wokół zaś leżały bombki i inne kruche przedmioty kojarzące się ze świętami. Ruchem dłoni Tag nakazał psu, żeby się nie ruszał.

W głębi pomieszczenia siedziała tyłem do drzwi drobna postać, która pisała coś na komputerze. Najwyraźniej nie słyszała nadejścia gościa. Albo była tak skupiona na pra-

cy, albo Bing Crosby zagłuszył swoim śpiewem dzwonek u drzwi. Tag zmarszczył czoło. Spodziewał się ujrzeć kobietę nieco starszą, ubraną w kwiecistą sukienkę. Osoba przy komputerze miała na sobie dzinsy biodrówki odsłaniające spory kawałek pleców. Kosmyki włosów w kolorze miodu opadały jej na szyję.

W pierwszej chwili Tag uznał, że to nie może być siostrzenica szefa. W Snow Mountain mieszka wielu członków bliższej i dalszej rodziny Hutch, ale wszyscy są po czterdziestce. A to dziewczę wygląda na góra osiemnaście lat.

Nagle zerwał się wiatr. Chociaż Tag wciąż trzymał rękę na klamce, drzwi zatrzaśnięły się z takim hukiem, że Bu aż podskoczyła. Akurat w tym momencie Lila Grainger sięgała po kawę. Huk sprawił, że kubek wysunął jej się z dłoni i rozbił na odnowionej drewnianej podłodze.

Ona sama poderwała się na nogi i odwróciła przodem do drzwi. Jedną rękę przycisnęła do serca, drugą chwyciła podłużny lizak w czerwono-białe paski, który stał w pudle przy ladzie. Dzierżyła go niczym miecz. Na myśl o tym, że lizak miałby jej służyć do obrony, Tag o mało nie wybuchnął śmiechem. Ale oczami wyobraźni wciąż widział Ethana podnieconego świątecznymi podarunkami, poza tym cały czas myślał o chorej Bu, i jakoś śmiech zamarł mu w gardle.

Spoglądając na właścicielkę sklepu „Pod Jemiołą”, uświadomił sobie, że jednak nie ma ona osiemnastu lat, lecz siedem lub osiem więcej. Zobaczył też autentyczny strach w jej oczach. Ona zaś, widząc, że Tag ma na sobie mundur, lekko rozluźniła uchwyt na lizaku, ale nie odłożyła go na bok. Ubrana była w obcisłe dzinsy i opięty czerwony sweter włożony na białą koszulę. Dół koszuli oraz kołnierzyk wystawały spod swetra.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie słyszałam, jak pan wchodzi.

Zerknął na Bube, która zrobiła coś, czego nigdy dotąd nie robiła: wyciągnawszy się na podłodze, wydała niski, gardłowy dźwięk, takie przeciągłe mruczenie. Brzmiało to tak, jakby nuciła jakąś dziwną kołysankę. Tag wytrzeszczył oczy; miał nadzieję, że nie jest to kolejny etap choroby, o której weterynarz go wczoraj poinformował.

Po chwili przeniósł wzrok na kobietę.

Była młoda i piękna, jak aniołki, które umieszcza się na czubku choinki. Skórę miała lekko muśniętą florydzkim słońcem, gładką niczym porcelana, rysy regularne,

bardzo delikatne, oczy wielkie i niebieskie, utkwione w jego twarzy. Widział żyłkę pulsującą na jej szyi.

- Panna Grainger, prawda? - spytał łagodnie, jakby bał się wzbudzić w niej jeszcze większy strach.

- Lila - powiedziała.

Swoją szczupłą sylwetką Lila Grainger różniła się od reszty rodziny Hutcha, której członkowie odznaczyli się raczej krępą budową. Taga ogarnęły wyrzuty sumienia. Psia-kość, nie powinien wlepić w nią oczu, ale dziewczyna naprawdę działa na zmysły.

Udawała, że już się nie boi, ale była kiepską aktorką. Dlatego przybrał dobroduszny wyraz twarzy; nie będzie na tej niewinnej istocie wyładowywać złości.

Jako policjant wiele widział i rzadko się dziwił. Potrafił rozpoznać lęk w czyichś oczach. A w oczach Lili wyraźnie go widział. Czyżby policyjny mundur wzbudzał jej strach? Niektórzy tak reagują na widok policji.

Stał bez ruchu, wolał się nie zbliżać, Buba jednak, pocierając brzuchem o podłogę i wciąż mrużąc radośnie, zaczęła się przesuwac w stronę dziewczyny. Tag pstryknął palcami. Pies popatrzył na niego błagalnie, po czym przewrócił się na grzbiet.

Po raz pierwszy Lila oderwała od niego spojrzenie. Podejrzewał, że gdyby wykonał krok, to nie zważając na jego mundur, rzuciłaby się do ucieczki. Kiedy jednak utkwiała oczy w Bu, nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Jaka śliczna psinka.

Może dlatego tak nerwowo zareagowała, kiedy wiatr trzasnął drzwiami? Może była krótkowidzem albo miała inne problemy ze wzrokiem? Przecież Bu była najbrzydszym psem pod słońcem!

Leżąc na plecach, Buba pomachała przednią łapą. Lila Grainger wybuchnęła śmiechem, udowadniając, że problemów ze wzrokiem nie ma żadnych. Za to roześmiana miała dziesięć razy więcej seksapilu niż przed chwilą, gdy stała wystraszona.

- Nie było mnie na wczorajszym zebraniu - powiedział Tag, wyjaśniając powód swojej wizyty.

Skrzyżował ręce na piersi, udając, że seksowny wygląd Lili nie robi na nim najmniejszego wrażenia.

- Na... na jakim zebraniu? - wydukała.

- Komitetu Ocalenia Świąt. Szef mnie wytypował - dodał, żeby nie było wątpliwości.

- Ach, na tym zebraniu! - Odgarnęła za ucho kosmyk włosów. - Nie szkodzi. Przyszło mnóstwo ludzi, a pan sprawia wrażenie zajętego człowieka, który nie ma czasu na takie głupstwa. Ale miło, że dziś pan tu zajrzał. Przy kasie leży stos ciasteczek, które zostały z wczoraj. Niech się pan poczęstuje. - Zerknęła nerwowo za siebie.

Próbuje się go pozbyć. Tag powędrował wzrokiem za jej spojrzeniem - tak jak przypuszczał, ciastka były polane czekoladą - potem popatrzył na niesforny kosmyk, który znów wysunął się z za jej ucha, i zdwoił czujność. Szef miał nosa; dziewczyna coś knuje.

Nie spuszczał z niej wzroku. Wszystko go interesowało, każdy najdrobniejszy szczegół, nawet te nieistotne. Na przykład podkrążone oczy - czyżby miała problemy ze snem? - oraz brak obrączki.

A zatem jest niezamężna. Dlaczego zwrócił na to uwagę? Sam jak ognia unikał zaangażowania emocjonalnego. Nauczył się ignorować ten pierwszy dreszczyk, od którego zwykle wszystko się zaczyna.

Na pogrzebie Ethana pastor powiedział: „Miłość nierozzerwalnie wiąże się z cierpieniem i stratą”. Tag zapamiętał te słowa; unikał miłości. Jedyne stworzenie, które zdołało zawładnąć jego sercem, była Bu.

Pastor miał rację. Miłość, przywiązanie i troska, nawet o czworonoga, odbierają człowiekowi siłę, czynią go słabym i bezbronnym.

Dobra, stary, weź się w garść! Nie pora na tego typu rozważania. Oderwał spojrzenie od Buby, która wciąż machała łapą do Lili Grainger.

- To miło, że pan wpadł, panie...

- Taggert. Brody Taggert - przedstawił się Tag, uważnie obserwując Lilę.

Co jest nie tak? Owszem, zaskoczył ją nieoczekiwanym wejściem, ale wyraźnie chodzi o coś więcej. Czuł to.

Chyba że wczorajsza wizyta u weterynarza i dzisiejsze wspomnienie o Ethanie cieszącym się z kolejki elektrycznej tak bardzo wytrąciły go z równowagi, że szukał

dziury w całym. No bo jakie Lila może mieć tajemnice przed policją i wujem? Nie wyglądała na osobę, która drobnym przestępstwem, na przykład sprzedażą narkotyków, chce zdobyć pieniądze na ocalenie świąt w miasteczku.

Jednakże instynkt nigdy Taga nie zawodził. A teraz mówił mu, że dziewczyna coś ukrywa.

- Ma pani protokół z zebrania? - zapytał.

- Protokół? Pan żartuje, prawda? To była luźna rozmowa.

- Ale coś postanowiliście? Zapadły jakieś decyzje?

- Nie, na razie mamy tylko parę wstępnych pomysłów - rzekła pogodnie, z fałszywą wesołością w głosie. - Wie pan, jak to jest.

- Nie wiem.

- Zmieniliśmy nazwę. Z Komitetu Ocalenia Świąt na Stowarzyszenie. Będziemy używać skrótu SOS.

Popatrzyła na niego, jakby czekała na pochwałę. Nie doczekawszy się, po chwili kontynuowała, szybko i nerwowo. Z doświadczenia wiedział, że tak mówią ludzie, którzy mają coś na sumieniu.

- Może postawimy w parku choinkę, taką wielką, żeby podtrzymać świąteczny nastrój, dopóki nie zbierzemy dość pieniędzy na naprawę Pracowni Świętego Mikołaja. Albo dopóki nie uda nam się zmusić radnych do zmiany decyzji.

Mówiąc to, zaczerwieniła się po czubki uszu. Ciekaw był, w jaki sposób Lila zamierza zmusić przedstawicieli miasta do zmiany decyzji. Podejrzewał, że gdyby przyszła do ratusza w skąpym bikini obszytym czerwono-białym futerkiem, natychmiast osiągnęłaby swój cel.

Niestety ich umysły pracują całkiem inaczej. W jej głowie nie zrodził się pomysł występu w świątecznie przystrojonym bikini.

- A oprócz ustawienia choinki - dodała po chwili - może w weekendy zaprosimy do parku prawdziwego Świętego Mikołaja.

- Nie ma prawdziwego Świętego Mikołaja - wytknął ironicznie Tag.

Czuł, że to nie wszystko, że za moment usłyszy dalszy ciąg.

- Chcę poprosić o tę drobną przysługę tego sympatycznego grubasa, który pracuje z wujem Paulem. Myśli pan, że się zgodzi? Za darmo?

Mianem sympatycznego grubasa określiła najstarszego policjanta w Snow Mountain.

- Jamison? - Tag nie krył zdumienia. - Chce pani, żeby Karl Jamison wcielił się w rolę Mikołaja?

Jamison nie tylko miał ogromny obwód w pasie, ale żuł tabakę, s pluwał ją pod nogi, a podczas dziesięcioletniej służby w marynarce przyswoił sobie niecenzuralne słownictwo, którym z lubością się posługiwał. Był najmniej odpowiednim kandydatem na Świętego Mikołaja, jakiego można sobie wyobrazić.

- Moim zdaniem pasowałby idealnie - rzekła Lila.

Idealnie? Chryste! Gdyby w grudniowe weekendy Karl Jamison odgrywał rolę Świętego Mikołaja, wszystkim w Snow Mountain na zawsze odechciałoby się świąt.

- Pan, na przykład, by się nie nadawał - ciągnęła Lila, mierzając Taga uważnym spojrzeniem. Przezornie wciąż trzymała w ręce potężnego lizaka. - Jest pan zbyt...

Pomimo że go uraziła stwierdzeniem, że byłby z niego kiepski Mikołaj, zaczął się zastanawiać, co teraz usłyszy. Zbyt wysoki? Zbyt przystojny? Psiakość, jednak nie udało mu się zgasić tej iskierki zainteresowania, jaka zapłonęła w nim na widok panny Grainger.

Zmierzywszy go ponownie wzrokiem, dokończyła:

- ...malkontentujący.

W przeciwieństwie do niej nie miał zdolności literackich, ale był prawie pewien, że gdyby użył słowa „malkontentować”, to przy sprawdzaniu pisowni słownik w komputerze wydałby ten ostry nieprzyjemny dźwięk, od którego Tagowi skóra cierpła.

Mimo to określenie „malkontentujący” całkiem trafnie go opisywało. Dlaczego więc zirytowała go spostrzegawczość Lili Grainger?

Zamiast pożegnać się i wyjść, zadał kolejne pytanie:

- No a poza przebraniem Jamisona za Świętego Mikołaja, jakie jeszcze mieliście pomysły na ratowanie świąt w Snow Mountain?

Lila odwróciła wzrok.

- To wszystko, żadnych więcej - odparła szybko.

Boi się mnie, pomyślał Tag. W każdym razie czegoś na pewno się boi. W oczach Lili Grainger kryła się tajemnica, którą niejeden mężczyzna chciałby zgłębić. Dlatego zamiast wdawać się w rozmowę, powinien się ucieszyć, że w SOS-ie nie ma miejsca dla cynicznych, niekochających świąt gliniarzy, pożegnać się i wyjść.

Ale Hutch nie uwierzy, że wykazał dobrą wolę. Będzie podejrzewał, że jego podwładny kopnął elfa, uszkodził renifera, obraził Mikołaja, innymi słowy postarał się, aby wyrzucono go z SOS-u. Obejrzawszy się przez ramię, Tag popatrzył tęsknie na drzwi.

- Na pewno nie mógłbym się do czegoś przydać? - spytał ponurym tonem.

Cholera, zaraz każe mu zbudować fotel dla Mikołaja, solidny, by nie złamał się pod ciężarem Jamisona.

Ale Lila marzyła o tym samym co on: żeby wreszcie znikł jej z oczu.

- Nie, nic mi nie przychodzi do głowy - rzekła, cofając się o krok.

Zapomniała jednak o potłuczonym kubku na podłodze, a na nogach miała same skarpety. Nagle syknęła z bólu. Z pięty trysnęła krew.

- To nic takiego - oznajmiła, kiedy Tag instynktownie postąpił krok do przodu.

Zrobiło jej się czarno przed oczami. Upadłaby, gdyby Tag nie doskoczył w porę i nie chwycił jej w ramiona. Ważyła tyle co piórko, dosłownie kilka kilogramów więcej niż Bu, choć oczywiście w niczym Bu nie przypominała.

Dawno nie tulił do piersi czegoś tak miękkiego. Ogarnęła go dziwna tkliwość. I tęsknota. Przymknąwszy na moment oczy, wciągnął w nozdrza zapach, zapach dzikich poziomek, który przeniknął go, wypełniając sobą pustkę, jaka w nim tkwiła od lat.

Chciał puścić Lilę. Chciał zmiażdżyć ją w uścisku. Chciał być tym samym człowiekiem, jakim był trzydzieści sekund temu, a jakim pewnie już nigdy nie będzie.

- Ojej - jęknęła, muskając go ciepłym oddechem. - Tego nie było w planach.

Tag westchnął. Trzymał w ramionach słodki ciężar, widział żyłę, która pulsowała Lili na szyi, słyszał Bube, która mruzczała z uwielbieniem. Nie, tego z całą pewnością nie było w planach.

Chłodnym tonem, tak by Lila nie domyśliła się, jakie emocje wzbudza w nim jej bliskość, spytał:

- Gdzie ma pani apteczkę?

ROZDZIAŁ DRUGI

Siedziała na desce klozetowej, wpatrując się w ciemną głowę pochyloną nad jej stopą.

Mimo że w trakcie pracy w policji Brody Taggart nauczył się zachowywać neutralny wyraz twarzy, tym razem nie zdołał ukryć zdumienia. Wystrój łazienki, z którego Lila była ogromnie dumna, wyraźnie go zaskoczył.

Miał wrażenie, jakby nagle znalazł się w ojczyźnie Świętego Mikołaja. Ścianę na wprost drzwi zdobiło okno, za którym rozciągał się widok na ośnieżony biegun północny. Po obu stronach okna wisiały zasłony w bałwanki. Na ręcznikach rosły zielone sosny o pięknych rozłożystych gałęziach, mydło iskrzyło się złociście, a na każdym skrawku papieru toaletowego widniał wesoły mikołajowy okrzyk: Ho, ho, ho!

Tuż przed tym, jak Tag się pojawił, Lila siedziała przy biurku, zastanawiając się nad swoją pierwszą książką, wstępnie zatytułowaną „Idealne święta”. Właśnie zabierała się do napisania rozdziału poświęconego świątecznym dekoracjom w łazience.

Teraz, mimo jaskrawej farby na ścianach i wesołych świątecznych ozdób, atmosfera w łazience wydawała się niemal lodowata. Tag milczał, zachowując profesjonalny dystans. Ale na ten dystans było już za późno.

Bo przed chwilą trzymał ją w ramionach, a ona czuła jego twarde umięśnione ciało. I była nim równie oszołomiona, jak bólem w pięcie. Zresztą pal licho ból. Po prostu była oszołomiona, odkąd tylko zobaczyła Taga. Dlatego cofając się, nadepnęła na potłuczony kubek.

Na widok Taga w pierwszej sekundzie poczuła strach, a po chwili coś znacznie bardziej przerażającego. I głębokiego. Przecież w jednej sekundzie nie można poznać człowieka, powtarzała sobie. A jednak miała przekonanie, że świat jest wspaniałym miejscem, jeśli żyją na nim właśnie tacy ludzie.

Próbowała odsunąć od siebie tę myśl. To nielogiczne. Ludzie bywają dobrymi aktorami. Z ich twarzy nie sposób wyczytać prawdy. Mundur nie świadczy o charakterze lub moralności człowieka. Chociaż od przyjazdu do Snow Mountain czuła się coraz lepiej, to jednak źle sypiała w nocy i mogła mieć mocno wypaczony obraz sytuacji.

Oczywiście starała się niczego nie dać po sobie poznać. Udawała pewną siebie, jakby codziennie brał ją w ramiona przystojny mężczyzna i przenosił do łazienki.

Pies nie zwracał uwagi na żaden chłód czy dystans, po prostu uznał, że jest miło i sympatycznie. Wcisnął się pomiędzy sedes a umywalkę i ciepłym, wilgotnym nosem trącał Lilę w rękę.

- Naprawdę nic mi nie jest - powtórzyła, ogarnięta wyrzutami sumienia.

Zdziwiła się, że funkcjonariusz Taggert nie zauważył namalowanych wczoraj na zebraniu tablic protestacyjnych, które stały w ciemnym kącie przy wejściu do łazienki. Dowiedziała się, że aby urządzić w Snow Mountain pikietę, trzeba najpierw wystąpić o pozwolenie. Było to idiotyczne w miasteczku tej wielkości. Dowiedziała się też, że na pozwolenie czeka się kilka tygodni. Może się czeka, ale ona nie zamierzała czekać. Bądź co bądź chodzi o święta Bożego Narodzenia.

Nielegalny protest zaplanowany był na czwartek poprzedzający Święto Dziękczynienia. Ekipa SOS-u była zachwycona pomysłem zamknięcia ulicy Main przed ratuszem, dopóki radni nie przyznają funduszy na ustawienie Pracowni Świętego Mikołaja w parku Bandstand.

W dodatku członkowie SOS-u nie byli bandą krzykaczy czy buntowników, jacy na ogół organizują pikiety. Byli to normalni stateczni obywatele, ludzie ciężko pracujący, którzy postanowili walczyć o to, co im leży na sercu. A na sercu leżały im święta Bożego Narodzenia.

Chociaż Lila wierzyła w słuszność sprawy, podejrzewała, że wuj ją zabije, jeśli dowie się o planowanym proteście. Tak samo jak ten przystojny policjant, który uważnie ogląda jej piętę.

Nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Brody Taggert wywarł na niej niesamowite wrażenie. Nigdy dotąd na nikogo tak nie reagowała. Prawdę mówiąc, po swoich ostatnich doświadczeniach powinna się bać wszelkich spontanicznych zachowań i

reakcji. Wciąż nie mogła się uwolnić od przykrych wspomnień. Sądziła, że już lepiej sobie radzi, ale kiedy dziś wiatr zatrzasnął drzwi, a ona zobaczyła obcego mężczyznę w sklepie, znów poczuła obezwładniający strach.

Kiedy przyjechała do Snow Mountain, nie była pewna, czy podjęła dobrą decyzję, otwierając sklep z dekoracjami świątecznymi. Biznes, który prowadziła przez internet, kwitł, ale czy w realnym świecie również będzie przynosił dochód? Na miejscu okazało się, że niepotrzebnie trapiły ją wątpliwości. Słusznie zrobiła, pakując swój dobytek i przenosząc się na drugi koniec kontynentu.

Wiedziała, że w tym sennym miasteczku położonym wśród lasów i gór wróci do zdrowia i odzyska równowagę psychiczną. Że wreszcie pokona niemoc twórczą i napisze książkę, o którą ją poproszono z uwagi na niebywały sukces jej internetowej firmy.

Od paru tygodni była przejęta, podniecona, pełna optymizmu, a nie jak dawniej przybita i wylękniona. Owszem, wciąż dokuczała jej bezsenność, ale wierzyła, że to też minie. Snow Mountain jest magicznym miejscem, jakby żywcem przeniesionym z karty świątecznej. Ma ogromny potencjał. Tu się człowiek może w pełni zrealizować, czerpać natchnienie do książki i zapal do życia.

Ale żeby ratusz kazał zgasić kolorowe świąteczne lampki? I zlikwidować Pracownię Świętego Mikołaja? To się w głowie nie mieściło!

Kiedy miała dziesięć lat, przyleciała wraz z rodzicami do Snow Mountain, by spędzić święta z najstarszym bratem mamy, wujem Paulem. Wtedy po raz pierwszy zobaczyła barwną ekspozycję w parku i na zawsze ją zapamiętała. W ogóle tamte święta były wyjątkowe: sypiący z nieba śnieg, prawdziwe choinki, a nie sztuczne jak na Florydzie, magiczna atmosfera.

Może dlatego postanowiła wrócić do tej uroczej miejsciny, kiedy rozpadł się jej świat.

I dlatego nie zamierzała pozwolić, aby radni zburzyli jej marzenia o wspaniałych świętach. Zamieszkała w cudownym miasteczku, w którym święta miały wyjątkowy charakter, otworzyła uroczy sklepik ze świątecznym asortymentem, i pracowała nad książką o idealnych świętach Bożego Narodzenia. Z wieloma rzeczami, które miała na

Florydzie, musiała się pożegnać, ale tu, na drugim końcu kontynentu, nareszcie odzyskała poczucie bezpieczeństwa.

W Snow Mountain uwierzyła, że wciąż istnieją na świecie miejsca, gdzie dzieci chodzą pieszo do szkoły, a potem bawią się na dworze, gdzie kobiety nie boją się same wyjść po zmroku z domu, a o przemocy prawie nikt nie słyszał. I nagle przykra niespodzianka: radni głosują za skasowaniem świątecznej ekspozycji. Oczywiście posunięcie to wzbudza sprzeciw Lili.

Ale gniew to jedno, a poczucie bezpieczeństwa to drugie. I poczucia bezpieczeństwa Lila nie traci. Najlepszy dowód to dzisiejszy wieczór: sklep już dawno był nieczynny, a ona nawet nie zamknęła drzwi na klucz.

Na widok nieoczekiwanego gościa poraził ją strach graniczący z paniką, ale na szczęście minął. Minął nie dlatego, że nikczemnik, który zburzył jej dotychczasowy świat, wyładował w więzieniu, ale dlatego, że Brody Taggart emanował spokojem i siłą, dlatego, że sprawiał wrażenie człowieka, na którym można polegać i który uczyni wszystko, aby utrzymać w miasteczku ład i porządek.

Z początku zaniepokoiła się, że może Taggart słyszał plotki o planowanym proteście. Wydawał się taki podejrzliwy, nawet chciał obejrzeć protokół. Wkrótce jednak zorientowała się, że chociaż ofiarował pomoc, to cała sprawa niewiele go w sumie interesuje. Przyszedł, bo takie dostał polecenie od wuja Paula.

Jeśli wychodząc z łazienki, nie zauważy przygotowanych plansz, pikietą może się spokojnie odbyć.

Przeszył ją dreszcz. Miała świadomość, że pikietą jest niezgodna z prawem, ale czuła się usprawiedliwiona; bądź co bądź nie wolno bezkarnie likwidować świąt.

Po chwili przemknęło jej przez myśl, że może ten dreszcz nie ma nic wspólnego z pikietą; może jest najnormalniejszym w świecie dreszczykiem podniecenia wywołanym bliskością atrakcyjnego mężczyzny. W końcu jest kobietą. On jednak nie zwracał uwagi na ich fizyczną bliskość. No ale transparentów i plansz również nie zauważył, a nie sprawiał wrażenia gapy. Może więc też czuł dreszczyk podniecenia?

Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i idealną budowę ciała: długie nogi, szeroką klatkę piersiową, umięśnione ramiona. Granatowy mundur podkreślał kształt

sylwetki. Lila przez moment badała wzrokiem twarz Taga: regularne rysy, wyraźnie zaznaczona broda, usta zaciśnięte, zmarszczki w kącikach oczu. Wcześniej oczy miał przysłonięte rondem kapelusza, więc nie widziała, jakiego są koloru. Teraz kapelusz leżał na podłodze.

Był gliniarzem w stu procentach, wzbudzał szacunek i postrach, ale łagodne brązowe oczy nakrapiane złotymi plamkami świadczyły o jego dobroci.

Kłęczał przed Lilą, skupiony na jej rannej stopie, a ona patrzyła na jego krótko przycięte gęste włosy w kolorze gorzkiej czekolady. Korciło ją, aby zanurzyć w nich palce, poczuć ich jedwabistość.

Wstrzymała oddech, kiedy delikatnym ruchem zsunął jej z nogi skarpetkę i ciepłą dłonią ujął gołą piętę. Pierwotny dreszczyk przeszedł w dreszcz. Przeraziła się. Ale to był inny strach niż ten, który towarzyszył jej przez ostatnie dwa lata, kiedy nie potrafiła uwolnić się od prześladowcy. Był nim znajomy z pracy, z którym łączyła ją jedynie sympatia.

- Ja już sobie poradzę. Naprawdę - wykrztusiła.

- Albo pozwoli mi pani obejrzeć ranę, albo jedziemy do szpitala. Proszę wybierać.

- Kiedy podniósł głowę, zobaczyła na jego policzkach cień zarostu. - Jak się pani czuje? - spytał autentycznie zatroskany. - Nie zemdleje mi pani?

- Czy nie zemdleję? - powtórzyła oburzona; przed wyjazdem z Florydy przysięgła sobie, że już nigdy więcej nie okaże słabości. - Nie należę do osób, które mdleją!

Miała jednak wrażenie, jakby stała w otwartych drzwiach samolotu, zastanawiając się, czy skoczyć.

- Niech pani posłucha: ludzie nie dzielą się na mdlejących i niemdlejących - wyjaśnił cierpliwie Tag. - Widziałem żołnierza piechoty morskiej, który stracił przytomność na widok własnej krwi.

- Aha...

- Więc jak? Mogę obejrzeć czy woli pani szpital?

Spojrzenie miał przenikliwe, głos spokojny, zdecydowany. Ponieważ dał jej dwie możliwości do wyboru, odprężyła się, choć w głębi duszy wiedziała, że właściwie nie ma nic do gadania.

- Może pan obejrzyć - zgodziła się łaskawie.

Uniósłszy jej piętę, delikatnie startł wacikiem krew.

- Hm, nie jest tak źle - rzekł po chwili. - Widzę pojedyncze rozcięcie, na szczęście niezbyt głębokie. Chyba wciąż tam tkwi mały odłamek szkła...

Sięgnął po pincetę i ostrożnie zbliżył ją do rany. Po chwili, pokazawszy Lili cienki odprysk, obrócił się i wrzucił go do kosza, który przypominał dziecięcy bęben.

- Teraz opatrzę skaleczenie - powiedział kojącem tonem, jakby rozmawiał z małym dzieckiem. - Szwy nie będą potrzebne. W sumie rozcięcie jest nieduże, tyle że rany w tym miejscu lubią krwawić.

Mówił jak człowiek przyzwyczajony do widoku krwi, który ani razu w życiu nie zemdlał. Jak człowiek, który w obliczu kryzysu potrafiłby zachować spokój.

Przyłożył do pięty Lili kawałek gazy, następnie w sposób profesjonalny owinął stopę bandażem. Najwyraźniej żaden dreszczyk czy ciarki nie przebiegały mu po plecach, a w każdym razie nie przeszkadzały mu w pracy.

- Świetnie pan opatruje rany - pochwaliła Lila. - Ale domyślam się, że to pana pierwsza wizyta na biegunie północnym.

Zmarszczył zdziwiony czoło, po czym uśmiechnął się. Był to raczej cień uśmiechu, ale całkowicie zmienił jego ponurą twarz. Przez chwilę Lila widziała Brody'ego Taggerta takiego, jakim był dawniej: beztroskiego, skorego do żartów zawadiakę.

Dźwignął się z kolan, podniósł kapelusz, otrzepał spodnie, po czym powiódł spojrzeniem po łazience. Nagle zatrzymał wzrok na słoiku pełnym kolorowych cukierków, na którym widniał napis: „Wesołe groszki, na poprawę humoru”.

Uśmiech znikł, a wraz z nim wesoły, beztroski młodzieniec. Tag zacisnął powieki, jakby od patrzenia na barwne kulki rozboleł go wzrok. Pchnąwszy drzwi, wyszedł pośpiesznie z łazienki. Niemal otarł się ramieniem o stojące w kącie plansze.

Włożył z powrotem kapelusz, nasunął go nisko na czoło, tak że rondo ponownie zasłoniło oczy, po czym zagwizdał na psa i razem skierowali się do wyjścia.

Kuśtykając lekko, Lila wybiegła za nim i przekręciła klucz w zamku. Nawet jeśli w Snow Mountain nie istniało zjawisko przemocy, poczuła się nagle niepewnie, jakby stała na skraju czegoś bardzo przerażającego. A zarazem cudownego.

Zganiła się w duchu. Psiakość, kto jak kto, ale właśnie ona powinna wiedzieć, co może wyniknąć z niewinnego flirtu czy niezobowiązującej rozmowy z obcym mężczyzną. Dlatego wolała odciąć się od prawdziwego świata i zanurzyć w świecie fantazji. Bajkowy sklepik, malownicze miasteczko, pisanie książki - to jej wystarczy, zapełni pustkę w sercu, da poczucie bezpieczeństwa, szczęścia, kontroli nad życiem.

Przy takim mężczyźnie jak Brody Taggert kobieta nigdy nie miałaby poczucia, że cokolwiek kontroluje.

Wróciła do komputera. Idealne święta Bożego Narodzenia. Taki postawiła sobie cel. Ale żeby zaczynać pisanie książki od dekorowania łazienki? To jakiś absurd.

- Od czegoś trzeba - powiedziała na głos, lekko spanikowana. Bo umowę już podpisała, zaliczkę dostała, a co gorsze, zdażyła ją wydać. W dodatku powoli zbliżał się termin oddania tekstu.

Niewątpliwie jej niemoc twórcza była spowodowana bezsennością. W pisaniu z pewnością nie pomaga też to, że władze uroczego miejsca, w którym zamieszkała, miasteczka jakby żywcem przeniesionego z pocztówki, zamierzały zlikwidować święta. No dobrze, może nie same święta, ale tradycyjne dekoracje świąteczne. Należy pilnie zająć się tą sprawą, potem wszystko się ułoży.

Zmotywowana do działania podniosła telefon, wzięła głęboki oddech i wykonała ruch, nad którym debatowała od wczorajszego zebrania.

- Telewizja CLEM w Spokane - oznajmił głos na drugim końcu linii.
- Chciałabym rozmawiać z Jade Flynn. - Lila podała nazwisko dziennikarki, która zajmowała się w stacji reportażem społecznym.
- Czy można wiedzieć, w jakiej sprawie?
- W sprawie skasowanych świąt Bożego Narodzenia.

Brody Taggert dołączył do kolegów z komisariatu, którzy stali przy oknie, pociągnął z kubka łyk kawy i popatrzył na drugą stronę Main, gdzie przed budynkiem ratusza protestował tłum ludzi.

Protestujący, którzy całkowicie zablokowali ulicę, trzymali w górze plansze pokryte ręcznie wypisanymi hasłami: Elfy też mają prawa! Chcemy świąt Bożego Narodzenia! Ocalmy Snow Mountain! Ratujmy Świętego Mikołaja!

Krażyli w kółko, wyśpiewując:

- Hu, hu, ha, zima zła. Hu, hu, ha, jesteśmy za. Za czym jesteśmy? Za skrzatami, za saniami, za świętami! Hu, hu, ha, zima zła...

Dziwna to była grupa demonstrantów, bez tatuaży, bez kolczyków w nosie, bez dredów na głowie. Prawie wszyscy mieli siwe włosy z jednym rzucającym się w oczy wyjątkiem.

Jasne loki Lili Grainger wystające spod obszytej białym futerkiem czapki Mikołaja lśniły złościście w słońcu, zupełnie jakby płonęły ogniem. Zdaniem Taga, Lila przyciągałaby wzrok bez względu na to, czy występowałaby w mikołajowej czapce i obszernej różowej kurtce, czy w przystrojonym futerkiem czerwonym bikini.

Pod budynek ratusza podjechał van należący do CLEM TV w Spokane. Na miejscu był też reporter Bruce Wilkes z gazety „Snow Mountain News”, który z zapalem pstrykał zdjęcia.

- Co zamierzasz, szefie? - spytał Randy Mulligan, spoglądając niepewnie na Paula Hutchinsona.

Tag zerknął spod oka na Hucha, który wyglądał tak, jakby za moment miał dostać zawału. Był blady jak ściana w przeciwieństwie do swojej rozpromienionej siostrzenicy, która znajdowała się w samym środku pikiety. Nagle, odłączywszy się od reszty protestujących, ruszyła w stronę Jade Flynn, która wysiadała z vana. Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, kto kieruje protestem.

Zwykle takich jak ona Tag określał mianem prowodyra. Teraz jednak nawet tak nie pomyślał. Zwrócił uwagę na jej wdzięk, urodę oraz fakt, że lekko utyka.

- Nic cię nie tknęło, kiedy byłeś u niej? - spytał oskarżycielskim tonem Hutch.

- Nic a nic, szefie. Powiedziała tylko, że chcą poprosić Jamisona, aby wcielił się w Mikołaja...

- Nie będę robił za żadnego pieprzonego Mikołaja! - mruknął z oburzeniem Jamison, wtrącając na zakończenie tak barwną wiązanekę, że koledzy z piechoty morskiej byłiby z niego dumni.

- ...i że zmienili nazwę z komitetu na stowarzyszenie, co tworzy skrót SOS. To wszystko.

Nie, to wcale nie było wszystko. Przecież czuł, że Lila Grainger coś knuje. Przypomniawszy sobie rumieniec, jaki zabarwił jej policzki, kiedy wspomniała o radnych: że spróbuje na nich wpłynąć. Psiakość, gdyby nie miał kosmatych myśli, zwłaszcza kiedy niósł ją na rękach do łazienki, a potem gdy opatrywał jej krwawiącą stopę... No więc gdyby był skoncentrowany na zadaniu, jakie szef mu zlecił, może coś by zauważył.

Nie przyznał się, że za bardzo absorbowowała go bliskość i uroda jego młodej siostrzenicy, aby mógł się skupić na czymś innym. Poza tym wciąż miał świeżo w głowie informację o chorobie Bu. W pracy nosił maskę, nikomu nic nie mówił o diagnozie, ale słowa weterynarza trochę przytępiły jego zdolności intelektualne.

- Trzeba ją aresztować - oznajmił Hutch, na szczęście nie kierując polecenia do żadnej konkretnej osoby.

Randy Mulligan natychmiast przypomniał sobie o jakiejś pilnej robocie. Wybiegł z pokoju, jakby w miasteczku zjawili się Aniołowie Piekła, z którymi tylko on jeden mógł sobie poradzić.

- Aresztować? Chyba żartujesz? - spytał Pete Harper. - Wiesz, jak to będzie wyglądało w wieczornych wiadomościach? Ledwo ucichła sprawa z elfem, który spłonął w zeszłym roku.

- A jak to będzie wyglądało, jeśli jej nie zaaresztuję, a dziennikarze dowiedzą się, że to moja siostrzenica? - warknął Hutch. - Oskarżą mnie o protekcjonalizm. Muszę powziąć zdecydowane kroki, inaczej wszystkim niezadowolonym będzie się wydawało, że mogą stanąć na środku głównej ulicy i bezkarnie wstrzymać ruch. „Przyjaciele kundli” dłużej walczą o schronisko dla zwierząt niż Lila o przywrócenie ekspozycji świątecznej.

W głębi duszy Tag przyznał mu rację.

- No, może - zgodził się Pete. - Ale ja jej nie zaaresztuję. Matka by mnie zabiła.

Matka Pete'a, Jeanie, stała na zewnątrz, obok Lili. W jednej ręce trzymała planszę, na której widniał nagrobek z rysunkiem Świętego Mikołaja, a niżej: „Niech spoczywa w spokoju” oraz: „Ofiara radnych ze Snow Mountain”, w drugiej zaś torebkę pełną własnej roboty pysznych ciastek. Rozdawała je członkom ekipy telewizyjnej, przez co miała zagwarantowane, że ci opowiedzą się po stronie protestujących.

Zresztą i tak by to zrobili.

- Ja też nikogo nie będę aresztował - oznajmił Jamison, wskazując kciukiem na Pete'a. - Jego matka nigdy więcej nie upiekłaby mi ciastek.

Pete zmrużył oczy.

- Mama piecze ci ciastka?

- Aresztuj ją, Tag - rzekł znużonym tonem Hutch.

Tag westchnął. Mógł się tego spodziewać; zawsze przypadało mu zadanie, którego nikt inny nie chciał się podjąć. No ale to on nie wykazał się dostateczną czujnością. Tak się teraz zastanawiał... hm, czy to nie jakieś plansze stały w ciemnym kącie nieopodal drzwi łazienki?

- Mówisz serio? - spytał niezbyt uradowany. - A nie wystarczy, jak wezmę ją na bok i spróbuję przemówić jej do rozumu?

Paul Hutchinson pokręcił smętnie głową.

- Lila jest taka sama jak jej matka. Równie dobrze mógłbyś próbować wyjaśnić szympansovi zasady algebry. To niewykonalne. Poza tym myślisz, że ona da się spokojnie wziąć na bok? Nie po to wzywała prasę i telewizję.

Tag doskonale to rozumiał. Wciągnąwszy głęboko powietrze, wyprostował ramiona, po czym chwycił marynarkę zawieszoną na oparciu fotela i włożył kapelusz. Buba, która drzemała pod biurkiem, uniosła łeb i zaczęła zamiatać ogonem podłogę, czekając na zaproszenie.

- Nic z tego - mruknął Tag, wypatrując u psa oznak pogarszającego się stanu zdrowia. - Powinnaś mnie uprzedzać, na kogo mam zwracać baczną uwagę, a ty co? Zapałałaś miłością do Lili Grainger.

Lila. Takie jak ona potrafią zaleźć za skórę. Potrafią jak wąż zaatakować znieńacka. Potrafią nieźle zamącić w głowie. Człowiek patrzy, jak biedne stworzenie

kuśtyka, a nie widzi, że biedne stworzenie idzie na czele grupy buntowników i zamierza wszcząć rewoltę.

Wzdychając ciężko, psisko opuściło z powrotem łeb i zamknęło ślepie. Trudniej było Tagowi pogodzić się z tym, że Buba nie zrywa się, by mu towarzyszyć, niż z aresztowaniem uroczej panny Grainger.

Trzy minuty później przeciskał się przez gęsty tłum zgromadzony na ulicy. Już dawno w miasteczku nie wyczuwało się takiego podniecenia. Ostatni raz taka podniosła, pełna radości atmosfera panowała trzy lata temu, kiedy szkolna drużyna futbolowa dotarła do stanowych finałów. Miał wrażenie, jakby przed ratuszem zgromadzili się wszyscy mieszkańcy Snow Mountain i okolic. Tylko jednego nie mógł zrozumieć: jakim cudem w miasteczku, w którym nikt nie potrafił utrzymać języka za zębami, informacja o pikiecie nie dotarła do uszu policji.

W miarę jak Tag przedzierał się przez tłum, robiło się coraz ciszej. Czuł skierowane w siebie wrogie spojrzenia. Powtarzał w duchu, że nieraz był w dużo gorszej sytuacji, ale nie umiał sobie przypomnieć kiedy.

Lila Grainger widziała, jak Tag się zbliża. Ekipa telewizyjna również. Wszystkie kamery, aparaty, telefony komórkowe i magnetofony z promienia dwustu kilometrów znajdowały się teraz przed ratuszem na Main Street. I wszystkie wycelowane były w Taga.

- Dzień dobry, panie władzo - powiedziała butnie Lila.

Butnie? Hm, chyba nie bardzo, bo lekko drżała ze zdenerwowania.

- Dzień dobry, panno Grainger.

Wyglądała rozkosznie w tej idiotycznej mikołajowej czapce. A w obszernej kurtce niemal nie było jej widać.

Kiedy pochylił się w jej stronę, znów uderzył go intensywny zapach poziomek. Na wszelki wypadek starał się nie wciągać go zbyt głęboko w nozdrza.

Miał ochotę spytać o chorą nogę, zamiast tego powiedział szeptem:

- Proszę pójść ze mną.

Specjalnie mówił cicho, tak by nikt nie słyszał. Lila sprawiała wrażenie osoby, która posłusznie wykonuje polecenia władzy, ale czy takie osoby pachną poziomkami? Ten zapach powinien być mu dać do myślenia.

Lila cofnęła się o krok, utkwiała w Tagu swoje niesamowicie błękitne oczy i dumnie wyprostowała plecy.

- Aresztuje mnie pan, panie władzo?

Jeanie Harper syknęła z oburzeniem; przemknęło Tagowi przez myśl, że teraz wszyscy trzej, on, Pete i Jamison, mogą na zawsze pożegnać się z ciasteczkami w polewie czekoladowej. Psiakość, wcale się nie palił do aresztowania kogokolwiek, ale był najmłodszym pracownikiem komisariatu i jak zwykle padło na niego.

Dziennikarze szaleli, pstrykali zdjęcia, otaczali go coraz ciaśniejszym kręgiem. Jade Flynn odgarnęła do tyłu włosy, zwilżyła usta. Nad głową Lili i Taga zawisły mikrofony przypominające wielkie gąbczaste hot-dogi.

- Zanim się urządzi demonstrację czy pikietę, trzeba wystąpić o pozwolenie - rzekł cicho. - Gromadząc się przed ratuszem, zakłóćcie ruch.

- Czy chce mnie pan aresztować? - spytała ponownie Lila, unosząc dumnie brodę.

Patrząc na jej drobną postać - miała góra metr sześćdziesiąt wzrostu, ważyła zaś ze czterdzieści pięć kilo - Tag starał się zachować kamienny wyraz twarzy.

W czapce Mikołaja na głowie wyglądała jak niewinne dziewczę, które nigdy w życiu nic nie przeszkrobało. Przypuszczalnie ani razu nie dostała nawet mandatu. Po prostu była jedną z tych osób, które gotowe są walczyć o swoje przekonania. Tylko szkoda jej zapалу i energii na coś tak błahego jak elfy i renifery.

Z drugiej strony, ilekroć Tag przejeżdżał koło Bandstand, robiło mu się smutno; brakowało mu migoczących światełek, śmiesznych figurek, głośnego „Ho, ho, ho!” niosącego się w powietrzu. Nagle przypomniał sobie Ethana, który w wieku mniej więcej dwunastu lat przybiegł do domu w zwędzonej z parku czapce Mikołaja. Tag, który już wtedy miał zadatki na policjanta, natychmiast kazał mu ją odnieść na miejsce.

- To jak, panie władzo? Jestem aresztowana?

- Tak - przyznał niechętnie. - Jest pani aresztowana.

W tłumie rozszedł się pomruk niezadowolenia.

- Wstydzilibyś się, Brody! - zawołała Jeanie Harper.

Na tym polega problem bycia policjantem w małym miasteczku, w którym spędziło się całe życie. Jeanie na pewno pamiętała, jak w dzieciństwie kradł warzywa z jej ogródka i przewracał skrzynkę na listy.

Ścisnął Lilę za ramię, zamierzając wyprowadzić ją z tłumu, ona jednak oswobodziła się i podsunęła mu pod nos nadgarstki, jakby chciała powiedzieć: w porządku, skuj mnie. Ugryzł się w policzek, ale nie był pewien, czy po to, żeby nie wybuchnąć gniewem, czy po to, żeby zachować powagę. Raptem doleciał go głos Jade Flynn wydającej polecenie swojemu kamerzyście:

- Filmuj!

Media zainteresowały się miasteczkiem, które postanowiło zlikwidować święta. Ale nie ma ciekawej historii bez złooczyńcy. Oczywiście Jade Flynn nie robiło różnicy, kto jest czarnym charakterem, byleby się taki znalazł. Lila przez moment miała niepewną minę, w sumie jednak bardziej zależało jej na rozgłosie, na tym, aby świąteczna ekspozycja wróciła do parku, niż na reputacji Taga.

Utkwił w niej wzrok. Bała się, lecz nie na tyle, by zrezygnować z dalszego protestu. Najwyraźniej gotowa była poświęcić się dla dobra sprawy. Zauważył, że wciąż ma worki pod oczami.

- No dobrze - rzekł głosem nie zdradzającym żadnych emocji. - Ręce na plecy.

Wykonała polecenie. Zdjął kajdanki z paska i zamocował je na jej nadgarstkach. Niemal oślepl od błysków fleszy. Miał ochotę zapaść się pod ziemię. Jeśli Lila czuła się upokorzona, nie dała tego po sobie poznać.

Wyjaśnił, że aresztuje ją za organizowanie nielegalnego zgromadzenia oraz spowodowanie utrudnień w ruchu ulicznym, po czym wyrecytował przysługujące jej prawa. Lila, dumnie wyprostowana, skinęła głową, że rozumie. Jej godność nie została w najmniejszym stopniu naruszona, czego Tag o swojej nie mógł powiedzieć.

Trzymając dziewczynę za łokieć, zaczął przedzierać się przez tłum. Lila wciąż lekko utykała. Miał wrażenie, jakby chronił ją przed naporem ludzi, chociaż to na niego łypali gniewnie. Kilka osób stanęło na baczność i uniosło ręce w geście hitlerowskiego salutu. Lila wzdrygnęła się, zniesmaczona obraźliwym gestem.

Kiedy znaleźli się w budynku komisariatu, natychmiast pojawił się Hutch.

- Czy to naprawdę było konieczne? - spytał podwładnego, wskazując na kajdanki.

Tag westchnął w duchu. Kto mu kazał aresztować dziewczynę?

- Ją zapytaj - rzekł, uwalniając nadgarstki Lili.

- On tylko wykonywał swoją pracę, wujku.

Tag posłał jej spojrzenie, z którego można było wyczytać, że nie potrzebuje obrońcy w postaci chudzielca w przydużej kurtce i czapce Świętego Mikołaja.

- Idziemy do mojego gabinetu - powiedział Hutch do siostrzenicy. - No, już.

Popatrzyła błagalnie na Taga. Udał, że tego nie widzi.

- Nie należę do osób, które ciągle trafiają za kratki - poinformowała go, ignorując polecenie wuja.

- Wiem. Nietrudno się domyślić, że jest pani dziewicą - mruknął, używając policyjnego określenia na człowieka po raz pierwszy przyłapanego na łamaniu prawa.

Ledwo to powiedział, ugryzł się w język. Za późno. Hutch miał taką minę, jakby chciał go zabić, a twarz Lili przybrała kolor rozgniecionych malin. Kiedy to zobaczył, przemknęło mu przez myśl, że może Lila jest dziewicą również w sensie dosłownym.

- Przepraszam, trochę głupio to zabrzmiało.

- Nie gniewam się. Wszyscy mamy stargane nerwy.

Jasne, tylko że on powinien zachować spokój.

- Mam nadzieję, że następnym razem spotkamy się w przyjemniejszych okolicznościach - powiedziała oficjalnym tonem Lila.

- Tak? A ja mam nadzieję, że w ogóle się więcej nie spotkamy - burknął Tag, zły w powodu tych starganych nerwów i innych uczuć, jakie w nim wzbudzała.

Bu wybrała ten moment, żeby wyjść spod biurka. Podeszła do Lili, zwała się u jej stóp i zaczęła mruzczyć. Lila usiadła na podłodze, ramionami w puchatej różowej kurtce objęła psa za szyję i wybuchnęła płaczem.

To ze zmęczenia, pomyślał Tag, ponownie spoglądając na jej podkrążone oczy. Psiakość! Wcale nie chciał jej współczuć! Pewnie zmęczyła się, planując tę imprezkę.

Po chwili zauważył, że zarówno Hutch, jak i Bu patrzą na niego oskarżycielskim wzrokiem. Wzdychając z rozdrażnieniem, ruszył w stronę cel. Wyszoruje najbrudniejszą.

Może zanim skończy, tłum przed ratuszem rozejdzie się, Lila wróci do domu, Hutch uspokoi się, a Buba odzyska rozum.

A on sam może zapomni o tym, co czuł na widok demonstrującej Lili.

ROZDZIAŁ TRZECI

- ...codziennie wpływają datki - rzekła Lila do ciotki Marli, podrzucając w powietrze stos kopert. - A wiesz, co jest najlepsze? Niejaki Henry, który po przejściu na emeryturę zamieszkał w Spokane, a wcześniej zajmował się obsługą urzędzeń w wesołym miasteczku, zaproponował, że spróbuje naprawić elfy i renifery. Może uda mu się ocalić Pracownię Świętego Mikołaja!

Kiedy wybrała się z Henrym do miejskiego magazynu, najpierw musiała pokonać opór strażnika, który nie chciał jej wpuścić do środka i niemal potraktował ją jak wroga. Potem zaś załamała się na widok biednych elfów. Nie tylko mechanizm, który wprawiał je w ruch, był uszkodzony, ale również ze wszystkiego obłaziła farba. Biedne elfy - takie straszdyła na pewno nie stworzą świątecznej atmosfery.

- Staram się ułożyć harmonogram robót na weekend. Henry przywiezie specjalną farbę...

Nagle Lila zorientowała się, że Marla jest dziwnie zamyślona; nawet słowem nie wspomniała o ustawionych przed drzwiami saniach pełnych sosnowych gałązek i pęczków jemioli. A przecież zawsze zwracała uwagę na nowe rzeczy w sklepie. Była największą fanką sklepiku „Pod Jemiołą” i we wszystkim Lilę wspierała.

- Ciociu, czy coś się stało?

Starsza kobieta westchnęła cicho.

- Cieszę się, skarbie, z twoich sukcesów, ale policja również dostaje mnóstwo listów, na ogół bardzo przykrych, z pogrózkami. Większość jest adresowana do Brody'ego. Oczywiście on zachowuje się tak, jakby to nie robiło na nim wrażenia, ale Paul mówił mi, że już dwukrotnie w tym tygodniu brał zwolnienie. A Brody Taggart nigdy w życiu na nic nie chorował. Biedny chłopak. Jakby nie dość miał problemów w życiu.

Zaskoczyło Lile, że ktoś mówi o Brodym Taggercie per „chłopak”. Ona widziała w nim stuprocentowego mężczyznę. Miała tego świadomość zwłaszcza wtedy, gdy ją aresztował. Emanował siłą, pewnością siebie, spokojem, odwagą. Szedł przez tłum demonstrantów niczym wilk alfa, jakby to był jego rewir. Jakby on tu rządził i niczego się nie obawiał. Czuła się przy nim bezpiecznie.

Oczywiście wrogość tłumu skierowana była na niego, nie na nią. Rzecz jasna, wcale sobie nie zasłużył na te złe emocje. Ciotka miała rację. Biedak tylko wykonywał swoje obowiązki. W każdym razie tak go uchwyciono na filmie, który parę dni temu najpierw wyemitowała telewizja w Spokane, a potem inne stacje w kraju. Losy Pracowni Świętego Mikołaja w Snow Mountain wzbudziły powszechne zainteresowanie.

Kamera uchwyciła jeszcze coś, z czego Lila nie zdawała sobie wówczas sprawy: ogromne napięcie. Wystarczyłoby z jego strony jedno nieostrożne słowo, jeden nieuważny gest, aby nastrój tłumu uległ gwałtownej zmianie.

Ale Brody Taggart nad wszystkim panował, nie popełnił najmniejszego błędu. Sprawiał wrażenie człowieka, który zna się na swojej pracy, wie, co do niego należy i jak się do tego zabrać. Był spokojny, opanowany, a zarazem nieustraszony; jego spojrzenie zdawało się mówić: Lepiej niech nikt ze mną nie zadziera.

Dobrze, że są tacy ludzie jak on, pomyślała Lila. Gdyby nie oni, byłoby nam gorzej na świecie.

Obejrząwszy siebie w telewizji, pożałowała, że nie miała na sobie czarnej skórzanej kurtki, zamiast wielkiej puchowej, niepotrzebnie też włożyła czapkę Mikołaja. Przy Brodym Taggercie wyglądała jak kruszyna, w dodatku jak przerażona kuśtykająca kruszyna. Najdziwniejsze było to, że Tag wcale nie wyglądał tak, jakby ją na poważnie aresztował. Przeciwnie, sprawiał wrażenie, jakby cały czas osłaniał ją własnym ciałem, żeby przypadkiem nikt z tłumu jej nie potrącił. Przeszył ją dreszcz.

Niestety potem było gorzej. Dotarli do komisariatu. Kiedy Brody wyraził nadzieję, że więcej się nie spotkają, co było całkiem zrozumiałe, wybuchnęła płaczem.

Próbowała tłumaczyć sobie, że łzy to wynik chronicznego niewyspania, nadmiaru emocji, dezaprobaty w oczach wuja, tego, że tylko pies patrzył na nią z sympatią. Ale nie o to chodziło.

Po prostu Brody Taggert obudził w niej uspięone zmysły. Kiedyś chciała całować i być całowana, kochać się i być kochana, później jednak świadomie pozbyła się tych pragnień. Wiązały się z ryzykiem, niebezpieczeństwem oraz bólem, a ona wolała żyć w innym świecie: takim jak ten, który stworzyła w sklepie „Pod Jemiolą”; jaki chciała stworzyć w Snow Mountain i opisać w książce.

Zbyt dużo się jednak ostatnio działo, a zaaferowanie nie sprzyja pracy twórczej. Innymi słowy, do książki jeszcze nie zasiadła. Ale zmieniła koncepcję; zamiast zacząć od rozdziału o łazience, kusił ją rozdział, który wstępnie zatytułowała: „Co zrobić, aby w waszym mieście zapanowała świąteczna atmosfera”.

Cieszyła się, że medialny szum wokół zlikwidowanej ekspozycji odniósł pozytywny skutek. Ludzie przysyłali pieniądze; do tej pory wpłynęło ponad trzy tysiące dolarów. Henry zaś obiecał, że figurki będą gotowe do wystawienia dwa tygodnie przed świętami. W tej sytuacji Lila zaplanowała, że piętnastego grudnia Pracownia Świętego Mikołaja rozbłyśnie światłem.

Czyli wszystko idzie po jej myśli. Dopiero dziś usłyszała, że miejscowa policja zbiera cięgi.

Zrobiło jej się przykro, że Brody - zaczęła tak go nazywać w myślach - dostaje listy z pogróżkami.

Przypomniała sobie jego oczy, ciemne, ze złotymi refleksami; była w nich łagodność, tajemnica, ból.

Nie potrafiła tego pojąć, ale miała wrażenie, że go zna. Prawdziwego Brody'ego, a nie człowieka ukrytego za kamienną maską.

- W ratuszu też panuje minorowy nastrój - kontynuowała Marla. - Niektóre stacje wygrzebały materiał z zeszłego roku o płonącym elfie. Nasze miasteczko wolałoby się pokazać Ameryce od nieco innej strony...

To tłumaczyło chłód, z jakim spotkała się w miejskim magazynie. Nagle przyszło jej do głowy, że kiedy elfy i sanie będą już naprawione, to i tak trzeba wystąpić do ratusza o zgodę na ustawienie w parku świątecznej ekspozycji. Jeśli zaś zrazi do siebie radnych...

Zamierzała spytać ciotkę, czy sądzi, że uzyska wymagane zezwolenie, ale inna sprawa bardziej ją zafrapowała.

- Dlaczego powiedziałaś o Taggercie „biedny chłopak”? I czy możesz mi wyjaśnić, jakie ma problemy? - Wiedziała, że nie powinna zadawać takich pytań. Zawsze uważała się za osobę zdyscyplinowaną, która ma pełną kontrolę nad swoimi poczynaniami, toteż sama się zdumiała, że nie zdołała powściągnąć ciekawości.

I pomyśleć, że kilka dni temu ta zdyscyplinowana osoba siedziała na podłodze w komisariacie, obejmując psa i zalewając się łzami.

Ech, wszystkiemu winna jest bezsenność.

Z drugiej strony... hm, może jednak było parę spraw, które wymykały się jej spod kontroli?

Ponownie zadrzała. Nie był to najodpowiedniejszy moment na rozmyślanie o kształcie ust Brody'ego, o ich smaku i dotyku. Znów traci kontrolę. Jeżeli usłyszy teraz jakąś wzruszającą historię o przeszłości Taggerta, jej system obronny może lec w gruzach.

Na szczęście Marla ugryzła się w język. Była żoną policjanta, która wie, że o intymnych sprawach ludzi podległych jej mężowi nie należy z nikim rozmawiać, zwłaszcza o życiu Brody'ego Taggerta.

- Posłuchaj, kochanie - zwróciła się łagodnym tonem do siostrzenicy męża. - Wierzę, że uda ci się uratować Pracownię Świętego Mikołaja, tylko nie wiem, czy cena za zwycięstwo nie jest zbyt wygórowana.

A zatem za jej sukces zapłaci miasto, policja, a w szczególności Brody Taggert. Oczywiście tego ciotka nie powiedziała, ale nie musiała - jej mina była aż nadto wymowna.

Lila uzmysłowiła sobie, że niechcący skrzywdziła tych, którym jej dobro najbardziej leży na sercu.

Przez dwa lata walczyła ze swoim prześladowcą, z człowiekiem, który ją śledził i nękał telefonami; który włamał się do jej mieszkania i przez sześć koszmarnych godzin trzymał ją jako zakładniczkę. Kto wyciągnął do niej rękę? Kto ją nieustannie wspierał? Kto bez chwili wahania zaoferował jej schronienie?

Wuj Paul i ciotka Marla.

I tak jak teraz ciotka chroni tajemnice Brody'ego, tak wcześniej oboje z wujkiem chronili sekrety Lili. Odkąd zamieszkała w Snow Mountain, nikt nie szeptał za jej plecami, nie wskazywał jej palcem, rozmowy nie milkły, kiedy ona nadchodziła.

- Ciociu, co mogę zrobić? - spytała Marłę.

Starsza kobieta uśmiechnęła się czule.

- Nic, kochanie.

- Ale to przede mną inni mają kłopoty. Na pewno mogłabym im jakoś zaradzić.

- Niektórych rzeczy nie da się naprawić.

- Ale większość się da. Weź na przykład ekspozycję świąteczną. Zepsuta, skazana na zapomnienie. Tak się wszystkim wydawało. Ale jest nadzieja, że światełka znów rozbłyszczą. Nie wolno tracić nadziei.

- Bo ja wiem? Czasem bywa to trudne. - Marla westchnęła. - Nie przejmuj się, złotko. Wszystko będzie dobrze. Przepraszam, niepotrzebnie wspomniałam o tych listach z pogroźkami i atmosferze w ratuszu.

Nie wygłupiaj się, Lila usłyszała wewnętrzny głos. Ale druga, dzika, strona jej natury nie zamierzała milczeć. Zaszalej! Zaryzykuj! Wykonaj skok na głęboką wodę. Zawsze zdążysz dopłynąć do brzegu.

Odwieczna walka między sercem a rozumem. Wstrzymaj się, mówił rozum; jeśli pomysł faktycznie jest tak dobry, jutro go zrealizujesz.

Serce jednak nie miało ochoty się wstrzymywać, nie miało ochoty słuchać ani dłużej być uległe.

Serce chciało ponownie ujrzeć Brody'ego Taggerta, pobyć z nim, lepiej go poznać. Oczywiście nie zdradziła ciotce swoich zamiarów. Przeciwnie, perfekcyjnie odegrała rolę grzecznej dziewczynki, która pragnie naprawić wyrządzone przez siebie zło.

- Ciociu, a gdybyśmy wszyscy razem przystąpili do pracy nad ekspozycją? Ludzie z SOS-u, radni, policja. Telewizja mogłaby znów przyjechać, nakręcić kolejny reportaż o tym, jak to świąteczna atmosfera sprzyja miłości i pojednaniu. Media uwielbiają takie historie. Można by ustawić Taggerta na centralnej pozycji. Zostałby bohaterem. Zamiast pogroźek zaczęłyby otrzymywać listy miłosne.

Marla roześmiała się wesoło.

- Nie sądzę, żeby Brody się zgodził. On woli trzymać się z tyłu; nie lubi rzucać się w oczy.

- Nie musi wiedzieć, że zjadą się dziennikarze. - Lila nie dawała za wygraną. - Po prostu niech go wuj Paul wytypuje do pomocy.

Szkoda, że mężczyzna, o którym ona myśli stanowczo za często, sam nie miałby ochoty pomóc przy konserwacji figurek. Podczas ich ostatniego spotkania jasno dał do zrozumienia, że nie chce więcej jej oglądać.

Nawet mu się nie dziwiła. Ale wspólna praca poprawiłaby zarówno jego wizerunek, jak i wizerunek miejscowej policji.

- Zastanowię się - rzekła z wahaniem Marla.

- Ciociu, nie ma się co zastanawiać. Trzeba szybko działać. Za tydzień prasa będzie żyła czymś innym. Kogo obchodzą odgrzewane kotlety? Proszę cię, zadzwoń do wujka. Powiedz mu, żeby Brody Taggert stawiał się wraz z kilkoma innymi policjantami w sobotę o dziesiątej rano.

- Gdzie?

- Potrzebna nam jest jakaś hala, która pomieści co najmniej dwadzieścia osób, dwanaście reniferów, osiem elfów i Mikołaja. Hala, w której kropla smaru czy farby może kapnąć na podłogę i nikt nie będzie miał o to pretensji.

- Hm, jedyne miejsce, które przychodzi mi do głowy, to stodoła Taggerta.

- Taggert ma stodołę?

- Co się tak dziwisz? Mieszka na farmie, na zachód od miasteczka.

Nosi mundur, mieszka na farmie, ma stodołę. No, proszę, całkiem nieoczekiwanie udało jej się zdobyć kilka nowych informacji. Z jednej strony nie posiadała się z radości, z drugiej marszczyła z dezaprobatą czoło.

Brody powiedział, że nie chce jej więcej oglądać. Ale stodoła nie była jej pomysłem, tylko ciotki. Poza tym w miasteczku tej wielkości prędzej czy później musieliby na siebie wpaść.

Po chwili wahania Marla uśmiechnęła się i sięgnęła po telefon.

- Cześć, Pete - powiedziała. - Połącz mnie z Paulem.

Brody obserwował przez kuchenne okno, jak ochotnicy dysponujący pikapami zwozili do stodoły najpierw elfy, potem renifery. Wreszcie w sobotę tuż przed świtem przyjechała wielka ciężarówka z Mikołajem. Z kabiny wyskoczyła Lila Grainger, która miała nadzorować wyładunek.

Mógł się tego spodziewać. Widział reportaż w telewizji. I doskonale rozumiał, dlaczego dostaje listy pełne nienawiści. To było jak historia Dawida i Goliata; niestety Goliatem jest on, Lila zaś stanowi seksowną wersję Dawida.

Odkąd na polecenie szefa odwiedził ją w sklepie „Pod Jemiołą”, obudziły się w nim uspione od lat emocje. Zaczął czuć, pragnąć. Na przykład marzyły mu się poziomki.

Pragnął też otoczyć Lilę opieką, chronić ją, chociaż to chyba on potrzebował opieki. Tak, powinien pamiętać, jak się zakończyła historia Dawida i Goliata. Goliat nie wyszedł na tym najlepiej.

Przyklejony do okna patrzył, jak Lila wędruje do stodoły, po czym z trudem otwiera drzwi. Wciąż lekko utykała.

Postanowił wyjść na zewnątrz. Jako gliniarz dobrze wiedział, że nie wolno okazywać zdenerwowania czy strachu. Każdy ma jakieś słabe punkty, jakąś piętę Achillesa. Każdego czasem zawodzi odwaga. Niektórzy jednak potrafią to ukrywać. On potrafił.

Tak, wyjdzie i popatrzy jej prosto w oczy. Lila nawet nie odgadnie, ile to go będzie kosztowało. Jej drobna sylwetka i ciepłe miękkie ciało uzmysłowiły mu, jak zimny i twardy jest świat, który on zamieszkuje.

Nawet ten dom jest taki: elegancki, nowoczesny, męski, bez niepotrzebnych elementów architektonicznych. Lubił takie miejsca - łatwe do utrzymania w czystości, pozbawione ozdób i bibelotów, wolne od wspomnień.

Otoczył się wysokim murem: żył po spartańsku, unikał komplikacji oraz wzruszeń. Dom, w którym spędził dzieciństwo, stał zamknięty i nieużywany po drugiej stronie stodoły. Jediną miękką rzeczą w jego życiu, choć trudno nazwać psa rzeczą, miękką i dostarczającą wzruszeń, była Bu, ale wkrótce i jej zabraknie.

Wszystko, co człowieka porusza, prędzej czy później obraca się przeciwko niemu; człowiek zostaje sam, bezsilny, bezwolny, cierpiący. Miłość to Dalila obcinająca śpiącemu Samsonowi włosy.

Co za straszne słowo: miłość. Brody wzdrygnął się, jakby chciał odgonić od siebie natarczywą muchę. Buba czekała przy drzwiach, pomrukując z zadowoleniem, jakby wiedziała, kogo spotka na dworze.

Zdrajczynie, psiakrew! Dotychczas suka ostrzegała go przed kłopotami, ale nie tym razem. Tym razem sama, merdając wesoło ogonem, prowadzi go prosto w objęcia wroga. Dwa dni w ciągu ostatniego tygodnia Bu tak źle się czuła, że nie poszedł do pracy. Bał się, czy Bu dożyje do rana. Teraz jednak znów wstąpiło w nią życie. A on znów przeżywał huśtawkę nastrojów.

Przez miłość, powtórzył w duchu. Przez miłość, która sprawia, że człowiek staje się bezsilny, kiedy najbardziej siły potrzebuje. Pamiętając o tym, przeszedł z półmroku podwórza do oświetlonej stodoły. Dawno temu jego ojciec usunął boksy, zostawiając puste zadane pomieszczenie, w którym przechowywał i naprawiał maszyny rolnicze. Teraz tę przestrzeń wypełniały tabuny elfów, reniferów oraz jeden ogromny Mikołaj.

- Dzień dobry - powiedziała Lila, wyłaniając się zza elfa; oczywiście pies już dreptał przy jej nodze.

Przyjechała do pracy w różowych nausznikach i różowych rękawiczkach, zupełnie jakby panował siarczysty mróz. Do kompletu miała zabarwiony na czerwono nos.

Miękka, delikatna. Nie pasuje do tego klimatu, pomyślał z nadzieją Brody. Pewnie zaraz po świętach przeniesie się na południe, gdzie jest cieplej. A wtedy jego życie wróci do poprzedniego stanu.

Na razie jednak usiłował sobie przypomnieć, co tak bardzo podobało mu się w poprzednim stanie. I nie potrafił.

Zawsze dotąd myślał logicznie, umysł nigdzie mu nie błędził. Teraz jego czarno-biały świat zaczął się chybotać, pojawiły się w nim rysy, pęknięcia, szarości.

- Jaka piękna stodoła. - Lila objęła się ramionami, jakby chciała się ogrzać. - Kiedy ją zbudowano?

Czyżby unikała jego wzroku? Wsunął ręce do kieszeni i też odwrócił spojrzenie.

- Ze sto lat temu. Kiedy moi przodkowie nabyli tę ziemię.

- To niesamowite. - W jej głosie zabrzmiała nuta zazdrości. - Kiedyś pan się tu bawił, a za kilka lat pana dzieci będą skakać po sianie. Niemal słyszę ich śmiech.

W tym momencie ich oczy się spotkały. I przeskoczyła iskra. Może to on? Może to ona? Może się odnaleźli? Może są sobie przeznaczeni?

Przecież jej nie znasz, powiedział do siebie Brody. Nie są sobie przeznaczeni, bo jego nie interesują związki. Nie lubił myśleć o przeszłości, nie chciał myśleć o przyszłości, zwłaszcza o przyszłości z dziećmi ganiającymi po stodole.

Żył terażniejszą; skupiał się wyłącznie na tym, co się teraz dzieje. Kto by się przejmował iskrą? Poza tym Lila żadnego śmiechu nie słyszała.

W porządku; odgadła, że w dzieciństwie spędzał tu mnóstwo czasu. Ale nic dziwnego; wszystkie dzieci uwielbiają zabawy w stodole. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, usłyszał głos swojego brata odbijający się echem od starych belek pod sufitem. Brody odruchowo podniósł głowę, po czym szybko odwrócił wzrok.

Cholera, emocje. Niepotrzebne emocje. Nie był na nie gotów. Zadrzał.

- Zimno panu?

- Nie! - warknął zły, że Lila widzi rzeczy, których wcale nie chce jej pokazać.

- Lubię, jak jest zimno - oznajmiła, jakby powiedział „tak”. - Jest takie czyste i ożywcze, prawda?

Nigdy dotąd nie zastanawiał się nad naturą zimna. Teraz też nie miał na to ochoty. Nie chciał, żeby Lila Grainger analizowała jego świat; żeby się do niego wtrącała.

Zamyślił się. Na pewno jej pocałunki smakują jak płatki śniegu. Są niewinne, mokre, słodkie. Skierował spojrzenie na jej usta. Nie! Odwrócił oczy i wsunął ręce głębiej do kieszeni.

- Nie mogę się doczekać, żeby pojeździć na łyżwach - ciągnęła, ignorując jego milczenie. - I sankach.

Chociaż od lat nie ruszał łyżew ani sań, i wcale go to nie kusilo ze względu na wspomnienia związane z bratem, natychmiast wyobraził sobie, jak razem z Lilą mknie po śniegu.

- Panie Taggert... - Wyciągnęła do niego rękę. - Chciałam panu podziękować za udostępnienie nam stodoły.

Jakby w tej sprawie miał cokolwiek do gadania!

- Na imię mi Brody - mruknął niemal wbrew sobie, bo całkiem podobała mu się oficjalna forma, z jaką się do siebie zwracali.

- Brody - powtórzyła cicho. - A mnie Lila.

Uścisnął jej wyciągniętą dłoń. I to był błąd. Bo w tym momencie coś zrozumiał. Że żyje skuty lodem. I że nagle ten lód zaczyna pękać.

Przez chwilę stali złączeni uściskiem dłoni, wpatrzeni w siebie. Potem, jak na komendę, przerwali kontakt fizyczny.

- Za... zaparzę kawy - wydukała w końcu Lila.

- A ja... - Brody rozejrzał się po stodole. Zobaczywszy człowieka czyszczącego elfa, wskazał na niego kciukiem. - Pójdę mu pomóc.

Żadne z nich nie wykonało kroku. Wtem drzwi się otworzyły i do środka weszła Jeanie Harper z Jamisonem.

- Zimno tu jak w psiarni - oznajmił Jamison. - Wszystko człowiekowi sztywnieje...

Jeanie popatrzyła na niego z naganą w oczach.

- Choćby nos - dokończył Jamison. - Jeanie przyniosła ciasteczka, a ja chili con carne. Zdaje się, że całe to pieprzo... całe miasto zamierza stawić się do pomocy.

- Zrobiłeś chili? - zdumiał się Brody. Nie do wiary! Jamison przyrzęczał je wyłącznie wtedy, gdy spotykali się na pokera.

- Tak. Bo co?

- Bo nic. Z sekretnym składnikiem?

- Z jakim sekretnym składnikiem? - spytała Lila.

- Zwariowałeś? Wiadomo, że bez!

- Całe szczęście.

- Co jest tym sekretnym składnikiem? - Lilię zżerała ciekawość.

- Szczypta miłości - skłamał Jamison.

Pies nie był jedynym zdrajcą w tym towarzystwie. Jamison też się łąsił, tyle że nie do Lili. On był pod urokiem Jeanie Harper i jej fantastycznych ciastek.

- Szczypta miłości? To urocze - zachwyciła się Lila.

Jamison posłał Brody'emu ostrzegawcze spojrzenie. Wyjawisz tajemnicę, to ci język utnę. Sekretnym składnikiem podobno był popiół z kubańskiego cygara.

- Dlaczego pominąłeś ten sekretny składnik? - chciała wiedzieć Jeanie. - Świat potrzebuje miłości. Ja zawsze dodaję parę łyżek do moich ciastek.

Stali naprzeciwko siebie, dwaj mężczyźni, dwie kobiety i jeden brzydki pies. W powietrzu niosło się ciche mruczenie. Zanim ktokolwiek coś powiedział, drzwi ponownie się otworzyły, dmuchnął zimny powiew i do środka weszła kolejna grupa wolontariuszy.

Niecałą godzinę później w stodole panował gwar jak na ruchliwym skrzyżowaniu. Oprócz członków SOS-u, zjawilo się co najmniej trzydzieści innych osób. Między innymi Marla z Paulem. Przyszedł burmistrz i większość urzędników z ratusza, a także pół tuzina harcerek. Drużynowa usiłowała oddzielić je od Lodołamaczy, czyli członków miejscowej drużyny hokejowej.

Wkrótce wszyscy mieli zajęcie: kobiety zdierały papierem ściernym oblażącą z elfów farbę, następnie uzupełniały ubytki, mężczyźni zaś tłoczyli się wokół Henry'ego, który pokazywał im tajemniczy mechanizm poruszający postaciami. Z magnetofonu, który ktoś przyniósł, płynęły kolędy. Ciszę, która latami panowała w nieużywanej stodole, wypełniał śmiech i gwar.

Otrzymaawszy wskazówki od Henry'ego, Brody naprawiał plecy najbardziej naburmuszonego elfa. Psiakrew, nigdy nie uczestniczył w żadnych uroczystościach, ceremoniach, zgromadzeniach, na które przychodziły tłumy. Ostatni raz brał udział w czymś takim, kiedy był na pogrzebie brata. Później, ilekroć się gdzieś pojawiał, zawsze trafiał się ktoś, kto składał mu kondolencje i mówił, jak strasznie tęskni za Ethanem.

Nagle Brody z całą mocą uświadomił sobie, jak bardzo sam tęskni za bratem. Oczywiście za swój stan psychiczny winił Lilę, bo to ona wspomniała o roześmianych dzieciach biegających po stodole. Rozejrzył się po zaaferowanych ludziach. Ethan był społecznikiem, uwielbiał takie akcje. Gdy kościół organizował kolonie dla dzieci, zawsze zgłaszał się jako opiekun. Pierwszy leciał z workiem, by zbierać śmieci z pobocza drogi podczas Dni Troski o Środowisko. Na pewno ochoczo przystąpiłby do malowania uśmiechów na twarzach elfów.

Całe życie się różnili: jeden miał duszę artysty, drugi sportowca, jednego cechowała wrażliwość, drugiego siła. Ale to im w niczym nie przeszkadzało. Dopóki w ich życiu nie pojawiła się Darla.

Potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić wspomnienia.

Udało się. Pracował przy elfie ze skupieniem, nagle jednak zdał sobie sprawę, że bez przerwy rozmyśla o Lili.

O tym, że ta dziewczyna tu pasuje; że czuje się dobrze wśród mieszkańców Snow Mountain; że gdziekolwiek się przemieszcza, zaraz dobiega stamtąd radosny śmiech.

Kątem oka zerknął na Bubę, która merdając wesoło ogonem, krążyła po stodole, z każdym się witała, dawała się pogłaskać.

Ktoś ogłosił przerwę na kawę. Z kubkiem w ręce Brody przyłączył się do grupy osób, które znał od urodzenia. Uśmiechnąwszy się do Jeanie Harper, powiedział, że dla jej ciastek gotów byłby wędrować bosy w śniegu. Kiedy usłyszał, jak jeden z hokeistów żartuje z aparatu na zębach Mary Beth Anderson, pochwalił dziewczynę za recital fortepianowy, z jakim wystąpiła w szkole. Potem spytał panią Olive o jej wnuka, który służył w wojsku za granicą.

Wcześniej sądził, że to z powodu pracy zachowuje dystans do mieszkańców Snow Mountain. Bo jak się przyjaźnić z gościem, któremu za tydzień lub miesiąc wlepi się mandat za przekroczenie szybkości? Jak wdać się w przyjacielską pogawędkę z człowiekiem, o którym się wie, że bije żonę?

Dziś jednak uzmysłowił sobie, że to nie praca stwarza dystans. Winę ponosi on sam: po prostu boi się głębszych relacji, zaangażowania.

Westchnąwszy cicho, poczuł ciepło bijące od Buby, która opierała się o jego nogę. Po raz pierwszy od czasu wypadku przestał się bronić i uciekać. Zaakceptował to, że jest członkiem tej małej społeczności.

Tłoczyli się wokół niego, jakby zawsze był ich sąsiadem, kumplem, znajomym. Jakby nigdy od nich nie stronił. Jakby odsunął się dosłownie na moment, a oni trzymali dla niego miejsce, bo wiedzieli, że zaraz wróci.

Kobiety komplementowały go, pytały o rodziców, którzy po przejściu na emeryturę przenieśli się do ciepłej Arizony, z mężczyznami rozmawiał o sporcie, o pogodzie, o polowaniach i łowieniu ryb. Miał wrażenie, jakby wszyscy byli jedną dużą rodziną.

Popatrzył na Lilę. Uśmiechnęła się niepewnie; oczami wyobraźni ujrzał, jak biega roześmiana po stodole. Opanuj się, stary, powiedział sam do siebie; przestań bujać w obłokach. Starał się nie odwzajemniać uśmiechu, ale chyba poniósł porażkę, bo Lila oblała się rumieńcem i odwróciła wzrok, jakby też snuła wizje na temat tego, co można robić na sianie.

Zaczął się zastanawiać, dlaczego tyle lat trzymał się na uboczu, przecież tak dobrze i swobodnie czuje się w towarzystwie tych ludzi, kiedy raptem drzwi ponownie się otworzyły.

Przyjechała ekipa telewizyjna ze Spokane. Jade Flynn wpadła do środka jak burza, za nią kamerzysta.

Brody odstawił kubek z niedopitą kawą, wstał i skierowawszy się do tylnych drzwi, wyszedł na dwór. Miło było poczuć na twarzy powiew zimnego powietrza. I miło było znów być samemu, nie licząc rzecz jasna psa, który wstał i z ociąganiem podreptał za swoim panem.

Bu nigdy nie miała ukrytych motywów, nigdy nic nie robiła z myślą o korzyściach, jakie mogłaby osiągnąć.

To spontaniczne skrzyknięcie się mieszkańców i wspólna praca nagle wydały mu się zabiegiem obliczonym na zysk. Komercją, reklamą. Czymś sztucznym. Przedstawieniem mającym na celu naprawę wizerunku miasta.

Za jego plecami drzwi stodoły zaskrzypiały. Brody nie obejrzał się. I bez tego wiedział, kto postanowił dotrzymać mu towarzystwa. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach poziomek.

- Czy wszyscy oprócz mnie wiedzieli, że zjawi się ekipa telewizyjna?

- Z telewizją nigdy nic nie wiadomo na sto procent - odparła wymijająco Lila. - Szefowie muszą zdecydować, czy materiał wzbudzi zainteresowanie.

Popatrzył jej w oczy.

- Wzbudzi, wzbudzi. Widzowie lubią takie historie. Skłóceni mieszkańcy godzą się. Jaką rolę miałem odegrać?

- Pomyślałam sobie, że... że jeśli sfilmują nas, jak normalnie rozmawiamy, może ludzie odczepią się od ciebie.

- Odczepią się ode mnie? O czym ty mówisz?

- O tych strasznych listach z obelgami.

Prychnął pogardliwie. To chuchro próbuje go bronić? Zdegustowany pokręcił głową. To jest cios w jego godność. Nie życzył sobie niczyjej pomocy, a zwłaszcza Lili Grainger.

- Dwie kartki od dziewięcioletniej dziewczynki w Connecticut, która uważa mnie za „potwora”, trudno uznać za straszne listy z wyzwiskami.

- Z ich powodu wzięłeś dwa dni wolne.

Zastygł w bezruchu. Nie chciał, aby ktokolwiek dowiedział się o powodach jego absencji.

- Co? Szpiegujesz mnie?

- Skądże. Ale widzę, że nie jesteś chory, więc dlaczego poprosiłeś o dwa dni urlopu?

Poczuł ucisk w gardle. Korciło go, by jej powiedzieć o Bu. O diagnozie. Byłoby mu łatwiej, gdy nastąpi koniec.

Ale nie miał do niej zaufania. Biedny gliniarz traci ukochanego psa. Wyobraził sobie tytuły w gazecie. Ludzie zaczęliby mu współczuć, miasteczko stałoby się jeszcze bardziej znane, od razu powiększyłyby się fundusz SOS, sklepik „Pod Jemiołą” zyskałby kolejnych klientów.

- Wiesz, jakie byłoby najlepsze zakończenie tej historii? - spytał cicho.

- Jakie? - zapytała, niczego nie podejrzewając.

Nawet nie przyszło jej do głowy, że bezpieczniej byłoby się cofnąć o krok.

- Gdybym cię pocałował. Nie sądzisz, że ci z telewizji oszaleliby z radości? Jednego dnia zakuwam cię w kajdanki, drugiego miażdżę ci usta w pocałunku.

Zdumiona wytrzeszczyła oczy. W końcu postąpiła krok do tyłu. Za późno. Brody chwycił ją za nadgarstek, przyciągnął do siebie i zaczął całować. Ostro, jakby wymierzał karę. Ale jej uległość, jej miękkość, ciepło i delikatność go zgubiły.

Nie potrafił jasno myśleć. Czuł smak poziomek, słyszał śmiech dzieci skaczących po sianie. Jej usta były jak świeży oddech, jak powrót do domu po latach tułaczki. Sprawiały, że znikał ból, że człowiek zapominał o tym, jak okrutny bywa świat. Dawały nadzieję. Tak, to niesamowite: pocałunek Lili podsycił w nim nadzieję, że będzie lepiej. Mimo że go zdradziła, że wykorzystwała do własnych egoistycznych celów, że znów doprowadziła do cyrku medialnego.

Póki jeszcze miał siłę, odsunął ją od siebie. Zamiast posłuchać szeptów serca, posłuchał głosu rozsądku.

- I co? Może być takie zakończenie? - spytał, starając się nadać swemu głosowi ironiczne brzmienie. - O psiakrew! Niestety nie było kamer.

Zaklął pod nosem. Jamison byłby z niego dumny. Dla większego efektu zamierzał wytrzeć ręką usta, ale łzy napływające do dużych niebieskich oczu Lili uzmysłowiły mu, że efekt, o jaki mu chodziło, został osiągnięty. Zresztą wcale nie chciał pozbywać się smaku poziomek.

- Akurat kiedy uznałam, że całkiem miły z ciebie facet, ty zachowujesz się jak ostatni drań - mruknęła gniewnie.

- Miły? Niby dlaczego?

- Stanałeś w obronie tej dziewczynki z aparatem na zębach.

- Każdy z nas, jeśli zechce, potrafi być świetnym aktorem. I w dodatku załatwić przyjazd do miasteczka ekipy telewizyjnej. Do miasteczka, do którego telewizja zwykle nie przyjeżdża. No ale odkąd otwarto nowy sklep z dekoracjami świątecznymi, przydałoby się ściągnąć więcej turystów, prawda?

Widział po jej minie, że trafił w sedno. Zamiast się ucieszyć, poczuł złość.

Jade Flynn wybrała ten moment, by wyłonić się ze stodoły. Kamerzysta wybiegł za nią, taszcząc sprzęt na ramieniu.

- Tu jesteście. Dzięki, Lilo, za informację. To świetna historia.

Lila pociągnęła nosem i wierzchem dłoni potarła oczy. Brody oddalił się. Chryste, czy za każdym razem będzie doprowadzał ją do łez?

A może jest zmęczona i dlatego tak łatwo wybucha płaczem? Dziś też miała podkrążone oczy. Ogarnęła go wściekłość na samego siebie: cholera jasna, co go obchodzi jej oczy i zmęczenie?

- Pewnie nie dałoby się zrobić wam zdjęcia, jak razem malujecie uśmiech na buźce elfa? - spytała bez większego przekonania Jade, wyczuwając napięcie.

Brody obejrzał się przez ramię. Widząc wycelowany w siebie aparat, pokazał kamerzyście środkowy palec. I tak został uwieczniony na zdjęciu.

Nie zwracając uwagi na krzątanicę w stodole i dobiegający stamtąd gwar, skierował się do domu. Bu zwymiotowała na podłogę pod stolikiem. Na pewno dlatego, uznał, że ludzie nie mogli się oprzeć jej brązowym ślepiom błagającym o ciasteczko. A nie dlatego, że choroba postępuje w coraz bardziej zawrotnym tempie. Ale sam w to nie wierzył. Po prostu zachowywał się jak człowiek, który nie chce przyjąć prawdy do wiadomości.

Pragnął natomiast uwierzyć w coś innego, a mianowicie, że ten pocałunek nic nie znaczył. Że ostudził emocje i zgasił iskrę, która przeskakiwała między nim a Lilą.

Ale intuicja znów mu podpowiadała, że się oszukuje. Bo tak naprawdę pocałunek niczego nie ostudził, natomiast otworzył nowe drzwi, komplikując sytuację, która i tak już była wystarczająco skomplikowana.

Brody liczył na to, że po pocałunku odczuje satysfakcję. Nie zamierzał pozwolić na to, aby Lila Grainger nim manipulowała. Po części osiągnął cel: dziewczyna się rozpląkała; pojęła, że brzydzą go jej gierki.

Niestety żadnej satysfakcji nie czuł. Przeciwnie, ogarnęły go wyrzuty sumienia. Istnieją dziesiątki idiotycznych powodów, dla których mężczyzna całuje kobietę. Ale żeby całować ze złości? To chyba szczyt głupoty.

Nie dość, że czuł się jak kretyn, to jeszcze marzyło mu się, aby znów przywrzeć ustami do ust Lili. Ponownie skosztować ich smaku. Ku własnemu przerażeniu rozumiał, jak głębokie emocje Lila w nim wywołuje. Jeżeli straci nad nimi kontrolę, trudno mu będzie wytrzymać w samotności kolejne święta. Zwłaszcza gdyby zabrakło Buby,

której mokry język codziennie rano budził go do życia. Czy bez pancerza ochronnego poradzi sobie z okropną pustką?

Wiedział, co należy zrobić. To Lila wywołuje w nim emocje, przed którymi się bronił. Zatem musi jej unikać. Ale zamiast ucieszyć się, że znalazł rozwiązanie i wreszcie może odetchnąć z ulgą, poczuł jeszcze większą pustkę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po tygodniu wyteżonej pracy naprawione i świeżo pomalowane elfy przewieziono do Bandstand. Renifery miały przyjechać nazajutrz, a na końcu Mikołaj. Lila westchnęła. Kurczę, a chciała tak dobrze. Po tamtym pierwszym dniu więcej nie pojawiła się na farmie Taggerta.

Skupiła się na innej pracy; wraz z ochotnikami zawieszała światełka w parku. Podejrzewała, że rozświetlone miasteczko będzie widoczne hen z kosmosu. Piętnastego grudnia o zmierzchu nastąpi uroczyste otwarcie. Światła zostaną zapalone, zagra szkolny zespół muzyczny, panie z chóru kościelnego zaśpiewają kolędy, goście dostaną do picia gorącą czekoladę, a sklepiki w centrum będą otwarte do późna. Właśnie taki obrazek sobie wymarzyła. Brakowało tylko śniegu, ale miejscowi mówili, że niedługo spadnie.

Dlaczego więc czuła się taka wypalona, taka pusta? Dlaczego nie cieszy się, że miasteczko będzie widoczne z kosmosu i nie zastanawia, czy lepiej, by chórzystki trzymały w rękach białe świeczki czy czerwone?

Usiłowała wmówić sobie, że to brak weny twórczej działa na nią tak deprymująco. Ale w głębi duszy wiedziała, że się okłamuje. To nie z powodu książki była przygnębiona.

Przyczyną był pocałunek Brody'ego. Ilekroć go sobie przypominała, serce waliło jej jak młotem.

Na szczęście Jade Flynn zlitowała się i wycięła fragment z Brodym pokazującym kamerzyście środkowy palec. W materiale wyemitowanym w telewizji uchwycono natomiast Lilę z wujem i burmistrzem malujących nowy uśmiech na twarzy elfa. Nazwisko Brody'ego nie padło ani razu.

Gdyby ktoś się uważnie przyjrzał zdjęciom, zauważyłby, że Lila ma lekko spuchnięte oczy i rozmazany makijaż, pewnie jednak uznałby, że płakała z radości, bo przecież to dzięki jej wysiłkom ocalono święta w Snow Mountain.

Zresztą ciągle miała oczy spuchnięte z niewyspania.

Brody nie pocałował jej w gniewie. Wiedziała to na sto procent. Może zaczął, gdy był na nią zły, ale już po chwili czuła żar i namiętność. Dlatego, przewracając się w nocy z boku na bok, oddawała się marzeniom. Marzeniom o wspaniale umięśnionym męskim ciele, silnych ramionach, czasem też o rozbrykanych dzieciach bawiących się na sianie.

- Moim zdaniem - oznajmiła ciotka Marla, wpatrując się w sznur lampek - brakuje tu choinki. Nie sądzisz, że ładnie by się prezentował pięciometrowy rozłożysty świerk ozdobiony niebieskimi światełkami?

- Może - przyznała smętnie Lila. - Ale już za późno na drzewko.

- Za późno? - Marla uniosła brwi. - Nie żartuj, świerków mamy pod dostatkiem. Wystarczy pojechać do lasu. Poproś wuja.

- Może bym się nawet z nim wybrała... - Lila starała się nadać swemu głosowi entuzjastyczne brzmienie. - Nigdy nie widziałam, jak się ścina drzewo.

Od tego mogłaby zacząć książkę: od wyprawy po własne drzewko, wyprawy do lasu jak w dawnych czasach, a nie wyprawy na miejski plac lub, co gorsza, do sklepu po sztuczną choinkę.

- Doskonale. Powiem Paulowi, żeby wpadł po ciebie w sobotę około jedenastej rano. Tylko zabierz na drogę coś do jedzenia, to mu zawsze poprawia humor.

- Ojej, jeśli ta wyprawa ma zepsuć wujowi humor... - Lila zasepiła się.

Po pierwsze, to naprawdę byłby dobry początek książki, a po drugie, może na kilka godzin udałoby jej się zapomnieć o Brodym.

- Po prostu włóż do kosza kilka ciastek Jeanie Harper. Tych z polewą czekoladową.

- No dobrze - odrzekła Lila. Brody'emu też najbardziej smakowały te czekoladowe.

Nie zauważyła, że ciotka obserwuje ją uważnie, jakby więcej czytała z jej twarzy, niż ona chciała ujawnić.

Mieszkała w ładnej części miasta, gdzie pośród starych drzew stały starannie utrzymane domy. Jej dom, mały, o spadzistym lekko omszałym dachu i rzeźbionych okiennicach, wyglądał jak chatka królowy Śnieżki.

Brody zaparkował przy krawężniku. Korciło go, aby nacisnąć klakson, ale powstrzymał się; był zły, że ich drogi znów się krzyżują, ale nie chciał okazywać irytacji.

- Jedź z nią po choinkę - polecił mu Hutch. - I na miłość boską, usuń z gęby ten grymas niezadowolenia! Uśmiechnij się!

Siedzący pod oknem Jamison zarechotał. Hutch łypnął na niego złowrogo.

- A ty, Święty Mikołaju, z czego się cieszysz?

- Szefie, wołałbym nie jechać - zaprotestował Brody.

- Akurat to mnie mało interesuje.

- A jak wrócimy z choinką, to w parku będzie czekała kolejna zgraja dziennikarzy?

- Aż tak łakomym kąskiem nie jesteś - burknął Hutch. - No dobra, przyznam ci się. Marla mnie kazała jechać. Drzewko musi być duże, zaznaczyła. A ja od ponad dziesięciu lat nie trzymałem w rękach piły elektrycznej. Prędeż sobie bym nogę uciął niż jakiś cholerny pień.

Tak więc Brody zgodził się pojechać z Lilą do lasu, żeby uratować szefa przed kalectwem. Ale wcale nie był z tego powodu szczęśliwy.

Nadal dostawał listy pełne wyzwisk i pogroźek, najwięcej od pewnego upartego dzieciaka z Connecticut, który albo przegapił wiadomość o tym, że ekspozycja świąteczna zostanie przywrócona, albo cierpiał na brak rozrywek.

Tak jak co roku, w okresie przedświątecznym policja miała zdecydowanie więcej pracy. Na przykład wczoraj wieczorem Brody czekał przed barem, aby powstrzymać Mike'a Stevensa przed jazdą po pijaku. Mike był porządnym gościem, silnym, odpowiedzialnym i rozsądnym. Brody dobrze go znał, latami grali razem w hokeja. Za trzy tygodnie Stevensowie oczekiwali narodzin potomka. Niestety jakiś czas temu Mike stracił pracę i stres związany z utrzymaniem rodziny go wykańczał.

- Wiesz, ile kosztuje głupia kołyska? - spytał bełkotliwie, kiedy Brody odwoził go do domu. - Zażyczyła sobie kołyski pod choinkę, a ja nie mam nawet na czynsz.

Potem wezwano Brody'ego do sklepu. Personel przyłapał na kradzieży córkę Murphych, zadziorną piętnastolatkę, która nie dawała sobie w kaszę dmuchać. W radiowozie dziewczyna się rozkleiła i zaczęła szlochać. Chciała kupić grę wideo dla swojego młodszego brata.

- Marzył o „Wieży buntowników” - powiedziała, pociągając nosem. - A to kosztuje pięć dych. Równie dobrze mógłby poprosić o bilet na księżyc.

W dodatku Buba gasła z dnia na dzień. Dziś po raz pierwszy od prawie dwóch tygodni Brody zabrał psa z sobą.

To nie wszystko. Bez przerwy prześladował go smak ust Lili Grainger i jej wielkie piękne oczy. A teraz Hutch nakazuje mu jechać z nią po drzewko. Miał nadzieję, że w dwadzieścia minut upora się ze wszystkim. Tyle że będzie to najdłuższe dwadzieścia minut w jego życiu.

Usuń grymas. Uśmiechnij się.

Łatwo powiedzieć. Gdyby chociaż wiedział, czy zgodził się ze względu na Hutch czy dlatego, że nie potrafi oprzeć się ustom Lili i bijącego od niej aromatu poziomek...

Wysiadł z samochodu. Bu otworzyła jedno oko.

- Zostań - rzekł. Niepotrzebnie, bo pies nawet się nie poruszył. - Zaraz wrócę.

Nacisnął dzwonek. Lila otworzyła drzwi. Stał, przestępując nerwowo z nogi na nogę, jakby wybierali się na pierwszą randkę.

- To ty? - Wydawała się zaskoczona.

- A spodziewałaś się...?

- Wujka Paula.

- Coś mu wypadło. - Lojalność nie pozwoliła mu podać przyczyny nieobecności Hutch. Podejrzewał, że Hutch wolałby uchodzić za twardziela, który niczego się nie boi.

- Nie spieszy mi się. Mogę poczekać, aż wujek...

- Chodź - przerwał jej. - Miejmy to z głowy. Obrócimy w pół godziny.

Chciał się od niej uwolnić, przestać o niej myśleć. Przestać myśleć? W jednym uchu miała kolczyk; drugi trzymała w ręce. Korciło go, żeby pochylić się, popieścić różowy płatek ucha...

Cholera jasna! Cofnął się o krok.

- Wiesz co? Masz rację. Poczekaj z choinką na wuja.

- Nie, to ty masz rację. - Przyjrzała mu się z wyraźną niechęcią. - Miejmy to z głowy.

- Jak chcesz.

- Chcę.

Tylko nie patrz na jej usta, rozkazał sam sobie. Ani na jej uszy.

- Możesz wejść? Nie jestem gotowa.

Zanim zdążył powiedzieć, że poczeka w samochodzie, oddaliła się pośpiesznie. Wszedł - jeszcze by sobie pomyślała, że się boi być z nią sam na sam. Przez chwilę odprowadzał ją wzrokiem. Czyżby wciąż utykała?

Z miejsca, gdzie stał, widział ogromny kamienny kominek obwieszony świątecznymi skarpetami. Choinki nie widział, ale czuł unoszący się w powietrzu zapach sosny.

Z zainteresowaniem rozglądał się po salonie. Wierzył, że wewnątrz domu wiele mówi o człowieku.

Oczywiście nie musi niczego więcej dowiadywać się o Lili. Wystarczyło mu to, czego dowiedział się z pocałunku.

Widok salonu powinien był podzielać na niego uspokajająco: on i Lila diametralnie się od siebie różnią. Większość pokoju zajmowała ogromna żółta sofa i potężna otomana. Ściany zastawione były półkami. Na stoliku stała pojedyncza filizanka. Telewizora nie było śladu.

Nawet mu się to podobało. Świadczyło o tym, że osoba zamieszkująca tę przestrzeń woli czytać, niż przyjmować gości.

Co cię to obchodzi? - skarcił się w duchu. Jeśli nawet każdego wieczoru urządza imprezę, to jej sprawa.

Mimo że stosunkowo niedawno przeprowadziła się do Snow Mountain, widać było, że się tu zadomowiła. Że stworzyła sobie ciepły przytulny kącik, do którego wracała po pracy. Była typem dziewczyny z sąsiedztwa, osobą miłą, uczciwą, optymistycznie nastawioną do życia, kochającą tradycję. Kobieta, która pójdzie do ołtarza ubrana w długą białą suknię. Bez ślubu nigdy nie zamieszka z mężczyzną. Swoim dzieciom będzie czytała bajki na dobranoc, będzie uczyła je odróżniać dobro od zła, będzie piekła ciasteczka

i udzielała się społecznie w szkole. Pewnie nawet nie pozwoli dzieciom oglądać telewizji.

Ktoś taki jak on mógłby tylko zniszczyć jej poukładany świat. Nie, zdecydowanie nie nadawał się dla tak niewinnej i szlachetnej istoty. Był realistą, a nie marzycielem, w dodatku realistą zgorzkniałym, ciężko doświadczonym.

Lila Grainger potrzebuje miłego faceta, kogoś takiego jak syn pastora, który pracuje w Seattle nad doktoratem. On, Brody, musi podsunąć Paulowi ten pomysł.

Ponownie rozejrzał się po salonie. Odkąd wyprowadził się od rodziców, żadne z jego mieszkań nie było „przytulne”. Najważniejszym sprzętem był telewizor. Im większy, tym lepszy. Dotychczas sądził, że nie brakuje mu elementów wystroju wnętrza, o jakie zwykle dbają kobiety: obrazów na ścianach, poduszek na kanapie, dywanów na podłodze, bibelotów. Dziś jednak uzmysłowił sobie, że to nieprawda.

Zalała go fala wspomnień.

Siłuje się z bratem. Odkąd zadurzył się w Darli, Ethan koniecznie chce pokazać, że nie jest gorszy od Brody'ego. Po chwili ukochana karafka mamy ląduje na podłodze. Bracia nieruchomieją; zastanawiają się, co począć.

Nie pamiętał, co potem zrobili; pamiętał tylko lśniące odłamki na podłodze i wyraz przerażenia na twarzy Ethana.

Nagle poczuł się straszliwie samotny. Obróciwszy się przez ramię, popatrzył przez okno na swój samochód. Chciał sprawdzić, czy Buba czeka z nosem przytkniętym do szyby.

Czekała. Odetchnął z ulgą.

Raptem jego wzrok padł na drzwi. Większość mieszkańców Snow Mountain nie używała nawet jednego zamka, tego pod klamką, Lila natomiast miała zamontowanych kilka zamków. Pochylił się zaciekawiony. Hm, w sumie cztery, z zasuwami. Wciąż lśniły nowością, czyli nie należały do poprzedniego właściciela. Oprócz zamków - łańcuch. Oraz świeżo wywiercony otwór, żeby można było zobaczyć, kto stoi na zewnątrz.

Zatem tamtego pierwszego dnia, kiedy zaskoczył Lilę w sklepie, nie mylił się: Lila Grainger naprawdę czegoś się boi. Żyje w strachu.

Dotychczas marzył o tym, żeby przestać o niej myśleć. Żeby zakochał się w niej syn pastora. Niestety zamki wszystko zmieniły. Obudził się w nim instynkt opiekuńczy. I ogarnął gniew na nieznanego wroga.

Lila wróciła do salonu.

- Nie wiem, czy jestem odpowiednio ubrana. Nigdy dotąd nie ścinałam drzewa.

Przyjrzał jej się dokładnie. Pochodziła z Florydy, gdzie ludzie nie mieli pojęcia o tym, jak się zabezpieczyć przed chłodem. Obcisłe dżinsy, sweter z grubej wełny, a na to obszyta futrem ciemnobrązowa kamizelka. Na rękach rękawiczki w biało-różowe paski.

Psiakość, ona stanowi uosobienie niewinności. I to uosobienie niewinności miało tyle zabezpieczeń na drzwiach, jakby mieszkało w Fort Knox!

- Może być - powiedział, a w myślach powtórzył: miejmy to z głowy.

Zmrużywszy oczy, Lila powiodła po nim wzrokiem.

W dżinsach i podszytej kocem kurtce dżinsowej poczuł się nie do końca ubrany. Żałował, że nie włożył munduru. Mundur jest jak maska, jak ściana, za którą można się skryć.

Nie patrz na jej usta, ostrzegł sam siebie i oczywiście ostrzeżenie to zignorował.

- A ty nie zmarzniesz? - spytała.

Nie patrz na jej uszy. Tego ostrzeżenia też nie posłuchał.

- Jest około zera. W tej części świata to prawie wiosenna aura - odparł.

Lila włożyła na głowę wełnianą opaskę w identycznym kolorze co rękawiczki. Chociaż przykazał sobie, by nie patrzeć na jej uszy, zrobiło mu się żal, że je zasłoniła.

- Podobno zbiera się na burzę. Może wreszcie spadnie śnieg? - Dość nieudolnie starała się ukryć podniecenie w głosie. - Powinieneś włożyć coś cieplejszego.

- Potrafię sam o siebie zadbać - burknął Brody. - Nie potrzebuję dobrych rad.

Oblawszy się rumieńcem, Lila schyliła się, żeby włożyć buty - wielkie, púchate, z ogromnymi pomponami - które idealnie nadawałyby się na arktyczne mrozy.

- Jak noga? - spytał Brody, gdy Lila się skrzywiła.

- Noga? A, tamto skaleczenie? W porządku.

- Wciąż kulejesz.

- Wiem. Potwornie długo goi się rana na pięcie.

Dobra, stary, zakończ temat nogi.

- Sprawdzasz, czy nie ma zakażenia?

Skrzyżowała ręce na piersi i posłała mu ostrzegawcze spojrzenie. Natychmiast pożałował pytania. To ona jest sprawcą jego kłopotów. To przez nią dostaje dziesiątki bezczelnych listów od pewnej piątoklasistki, która koniecznie chce go poinformować, co o nim myśli.

I to przez nią musi - na polecenie szefa - ratować wizerunek policji w Snow Mountain. A przecież tamtego dnia nie aresztował Lili z własnej woli!

- Sprawdzam. Wiesz, Brody, ja też potrafię sama o siebie zadbać.

Podobały mu się jej uszy, usta, oczy, a także to, jak wymawia jego imię.

Oj, niedobrze. Co go czeka? A raczej co ją czeka, jeśli wyląduje z człowiekiem o tak cynicznym podejściu do życia i świąt jak on? Oczywiście jest to pytanie retoryczne. Bo nigdy do tego nie dojdzie. Po prostu on, Brody Taggart, nie dopuści, aby cokolwiek ich połączyło.

Wyszedł na zewnątrz. Ona również, z ogromnym koszem piknikowym, który postawiła za ziemi, żeby mieć wolne ręce. Brody zerknął do kosza. Termos, kanapki, ciastka. Lila Grainger wybiera się na piknik.

Skierował spojrzenie na drzwi. Zamknęła dwa z czterech zamków. Zorientowawszy się, że Brody przygląda się jej z zaciekawieniem, szybko odwróciła wzrok.

- Uznałam, że złodziej czy włamywacz pewnie dwa zamki otworzy, a dwa zamknie. - Widząc sceptycyzm malujący się na jego twarzy, dodała: - Tak funkcjonuje umysł przestępcy.

- Nawet nie masz telewizora. Włamywacze najbardziej lubią telewizory.

On również lubił oglądać ruchome obrazki. I dlatego nigdy nie będą razem, on z Lilą. Zbyt wiele ich różni. Dzięki Bogu.

- A właśnie, że mam. Tyle że schowany.

Nie wiedział, co gorsze: brak telewizora czy schowany telewizor.

- A odkąd to jesteś taką ekspertką od przestępców? - spytał drwiąco. - Odkąd za kulę cię w kajdanki? Włamywacz nie będzie tracił czasu na zamki, tylko wejdzie przez piwnicę.

Lila zbladła i zaskoczona utkwiała spojrzenie w okienku piwnicznym.

- Chyba jest za małe.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, przez jakie otwory niektórzy potrafią się przecisnąć.

- Aha - szepnęła i zastygła.

- Masz tam coś cennego?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Pewnie mogę zamontować kraty.

- Czego się boisz? - spytał.

Znów obudził się w nim instynkt opiekuńczy.

Uniosła dumnie brodę, tak samo jak wtedy, gdy ją aresztował przed ratuszem.

- Niczego.

Wiedział, że kłamie. Wzruszył ramionami. W porządku. Nie zamierzał na siłę wyciągać z niej prawdy. Wcale nie miał ochoty na zwierzenia.

Przeszli do samochodu. Otworzył drzwi od strony pasażera. Na widok Lili Bu nie posiadała się z radości; od wielu dni nie widział tak podnieconego psa.

Kiedy pies położył łeb na kolanach dziewczyny, z pyska pociekła mu ślina, na co Lila nawet nie wzdrygnęła się z obrzydzeniem, Brody natychmiast wybaczył jej ukryty telewizor oraz to, że z jej powodu dostaje listy z wyzwiskami. Ale jednego nie potrafił wybaczyć: że przez nią znów wzbierają w nim emocje. Wolał nic nie czuć; tak jest bezpieczniej.

- Ładnie z twojej strony, że jedziesz ze mną - rzekła, przerywając ciszę.

Jedzie, bo mu kazano. Nawet go nie poproszono. Po prostu dostał takie polecenie. Rzecz jasna, nie powiedział tego na głos.

- Miły jesteś.

- Nie jestem - mruknął.

- E tam. Widziałam, jak stanąłeś w obronie tej małej z aparatem na zębach.

- Zrobiło mi się jej żal.

- I pozwoliłeś nam przenieść elementy ekspozycji do swojej stodoły, mimo że akcja ratowania elfów nie przypadła ci do gustu.

Bo chciał, by park znów tętnił życiem. Żeby było tak jak dawniej. Po chwili leżące obok psisko westchnęło głośno, a Brody uświadomił sobie, że już nigdy nie będzie tak jak dawniej.

- Przywrócę ci wiarę w ludzi. - Lila obróciła się do niego twarzą. - Wyobraź sobie, że wpłynęło już ponad pięć tysięcy dolarów.

Spotkali się po to, żeby przywieźć z lasu choinkę, a nie po to, by dziewczę w różowych rękawiczkach przywracało mu wiarę w ludzi.

- Wolę o tym nie wiedzieć.

- O wpłatach? Dlaczego?

- Zarejestrowałaś fundację? Albo organizację charytatywną?

- Do jasnej cholery! - zirytowała się. - Zawsze jesteś taki wesolutki?

- Zawsze. - Miał wrażenie, że kabina furgonetki coraz bardziej się kurczy. Wypełniał ją intensywny zapach poziomek. Brody uchylił szybę w oknie. - Ze względu na psa - wyjaśnił, kiedy Lila uniosła pytająco brwi.

Owinęła mocniej szalik wokół szyi, zupełnie jakby na zewnątrz szalała śnieżycą, a temperatura spadła do dwudziestu stopni poniżej zera.

- Tu się urodziłeś i dorastałeś? - spytała, usiłując nawiązać rozmowę.

- Tak - odparł krótko.

- I co, fajnie było? - Tęsknym wzrokiem popatrzyła na krajobraz za szybą. - Boże, jak tu pięknie. Ojej, śnieg!

Skrećiwszy z autostrady, jechali starą leśną drogą pod górę, noszącą tę samą nazwę co miasteczko. Poprzez coraz gęściej padający śnieg mogli podziwiać rozciągającą się w dole malowniczą dolinę pełną pól i domów.

Brody'ego znów zaczęły nawiedzać wspomnienia: uwielbiali z bratem przebywać na świeżym powietrzu, polować, chodzić na ryby, urządzać biwaki. Tęsknił za tamtym światem, kiedy wszystko było takie normalne, nieskomplikowane.

- Fajnie - odparł, marząc o tym, żeby się wreszcie uciszyła.

- A co najbardziej lubiłeś robić?

Mógł wymienić dowolne zajęcie. Powiedzieć: łowić ryby, pływać, wspinać się na drzewa.

- Zbierać poziomki. - Dlaczego dał akurat taką odpowiedź? Pewnie z powodu zapachu, jaki unosił się w kabinie.

- To tu rosną na dziko poziomki?

Skinął głową.

- Ale nie ma ich dużo. I są bardzo małe. Jak się przez cały dzień zbierze dzbanuszek, można to uznać za sukces. Moja mama je kochała. Gdyby jej dano do wyboru kieliszek szampana czy garść poziomek, wybrałaby poziomki.

I nagle przypomniał sobie, w jaki sposób on i Ethan - to było tuż przed śmiercią brata - przeprosili mamę za stłuczoną karafkę.

- Rodzice wciąż mieszkają w tych stronach?

- Nie, przenieśli się do Arizony.

Przenieśli się, bo nie mogli tu wytrzymać. Matka nigdy nie pogodziła się ze śmiercią młodszego syna. Bez Ethana nic nie było takie jak dawniej. Ani dom, ani miasteczko, ani Boże Narodzenie, ani Święto Dziękczynienia, ani urodziny, ani otwarcie sezonu łowieckiego. Po prostu nic.

On, Brody, też się zmienił. W dawnych czasach nie pozostałby przecież obojętny na wdzięki takiej dziewczyny jak Lila.

- A masz tu jakąś inną rodzinę? - Lila kontynuowała przesłuchanie.

- Nie.

- Czyli na święta pojedziesz do rodziców?

- Mam dyżur.

- W Święto Dziękczynienia też pracowałeś, prawda?

- Tak. - Zdziwił się, że Lila o tym wie.

Ciekaw był, czy spytała o to wuja, czy samo to wyszło w rozmowie.

Zawsze w święta pracował; zgłaszał się na ochotnika. Po pierwszych świętach Bożego Narodzenia bez Ethana ojciec wziął Brody'ego na bok i powiedział: „To za trudne dla twojej matki. Ona nie potrafi udawać, że się cieszy ze świąt. W przyszłym roku przyjedź do nas w styczniu”.

Czuł na sobie zaciekawione spojrzenie Lili. Tak wiele pytań chciała mu jeszcze zadać: Czy ma rodzeństwo? Czy chodzi w niedzielę do kościoła? Czy lubi piwo? Nor-

malnych pytań, jakie zadają sobie ludzie, którzy próbują się lepiej poznać. Tyle że on wcale nie chciał pogłębiać znajomości. Dobrze mu było ze zbroją na sercu; nie zamierzał jej zdejmować.

Nacisnął mocno hamulec.

- Tu są ładne drzewa - oznajmił.

Minęła godzina, zanim Lila znalazła wymarzoną choinkę: ogromny pięciometrowy świerk. Brody wiedział, że ścięcie tak dużego drzewa i umieszczenie go w furgonetce będzie wymagało sporo wysiłku.

To dobrze, potrzebował wyzwania.

Sprawnie się ze wszystkim uporał. Lila nie spuszczała z niego oczu.

- Zjesz coś? - zaproponowała. - Mam gorącą czekoladę i kanapki. A także - dodała, widząc jego wahanie - ciasteczka Jeanie Harper. Z polewą czekoladową.

Przeszył go dreszcz. Cholera, trzeba ładować choinkę na furgonetkę i wracać do miasta, pomyślał. Z nieba leciały duże ciężkie płatki.

Lila podniosła głowę i wysunęła język, po czym zamknęła oczy, jakby rozkoszowała się smakiem śnieżynek. Uznał, że nie ma sensu się spieszyć i psuć jej zabawy.

Spomiędzy drzew wyłoniła się Bu z szyszką w pysku. Położyła ją u stóp Lili i zaszczekała.

- Czego ona chce? - spytała ze śmiechem Lila, kiedy pies ponownie zaszczekał.

- Żebyś jej porzuciła.

Dawno nie widział Bu uganiającej się za szyszką. Zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie mu dane cieszyć się psem. Powinien być wdzięczny za każdą taką chwilę jak ta.

Uśmiechnął się, patrząc na piękną młodą dziewczynę w różowych rękawiczkach rzucającą szyszkę psu, któremu się wydaje, że znów jest szczeniakiem.

Kiedy Lila wyniosła z furgonetki koszyk z jedzeniem i na coraz grubszej warstwie bieli rozłożyła koc, Brody nie zaprotestował. Choć mieszkał tu całe życie, jeszcze nikt nie zaprosił go na piknik w śniegu.

Zebrawszy stos gałązek, rozpalili ognisko, po czym usiadł na kocu, przyciągnął do siebie psa i podrapał go za uchem. Pił czekoladę, jadł kanapki z szynką oraz ciastka w polewie czekoladowej, i starał się nie myśleć o przyszłości.

Kto wie, kiedy znów skosztuje ciastek Jeanie?

- Jak fajnie. - Lila rozejrzała się z zachwytem. - Nigdy czegoś takiego nie robiłam.

- To na Florydzie nie urządza się pikników na śniegu?

Pokazała mu język.

- Chodzi mi o wyprawę do lasu po choinkę. Prawdziwych choinek na Florydzie nie uświadczysz. Mama kupiła sztuczną. Po świętach wstawiała ją do garażu. Nawet nie zdejmowała bombek. Nienawidziłam tego drzewka.

Nie zadawaj pytań, ostrzegł sam siebie. Nie posłuchał.

- Dlatego tu przyjechałaś? Z powodu prawdziwych sosen i świerków?

- To jeden z powodów. Serio. W wieku dziesięciu lat spędzałam u wujostwa święta. Własnym oczom nie wierzyłam, że ludzie mają choinki. Że pada śnieg. Wszystko było takie autentyczne.

- Więc nie rozumiem, dlaczego tak ci zależy na ustawieniu elfów w parku. Akurat one są szczytem kiczu i tandety.

Uśmiechnęła się.

- Dziesięcioletniej Lili wydawały się prawdziwe. Byłam nimi oczarowana.

- Jak na kogoś, kto lubi prawdziwy świat, wybrałaś sobie dziwny zawód. Sprzedajesz ludziom iluzję...

Zasępiła się.

- Raczej magię. Pewne rzeczy są magiczne, niewytłumaczalne. Dla mnie święta Bożego Narodzenia to właśnie czas magii.

Przez chwilę milczał. W końcu oznajmił:

- Niedawno musiałem zatrzymać młodą dziewczynę za kradzież prezentu dla brata. Gry wideo, która przekraczała możliwości finansowe rodziny. Ciągle zatrzymuję nastolatki, które kradną szminkę czy perfumy, ale ta mała nie wzięła nic dla siebie. Jakoś święta nie kojarzą mi się z magią. Przykro mi.

Opowiadając Lili tę historię, chciał jej pokazać prawdziwy świat. Okazało się jednak, że ulżył sam sobie; że całkiem nieświadomie zrzucił ciężar, który nosił w sercu. Może nie ciężar, ale na pewno było mu teraz lżej.

- Och, Brody... - Westchnęła. - To okropne.

No tak, przerzucił ciężar na nią. Ogarnęła go złość. Dlaczego jej to powiedział? I dlaczego czuł to, co czuł?

Czuł zbyt wiele. Tyle emocji nie targało nim od czasu... Od czasu śmierci brata.

Wtedy zamknął się w sobie. Otoczył murem, za który nikogo nie wpuszczał.

- Wiem - mruknął, udając, że nie rozumie jej westchnienia. - Jestem okropnym człowiekiem. Na dowód tego codziennie dostaję listy z wyzwiskami.

- Nie! Mówiąc, że to okropne, chodziło mi o tę biedną dziewczynę.

- A mnie chodzi o to, że kiedy ty sprzedajesz iluzję, kiedy wystawiasz w oknie fioletową choinkę i walczysz o elfy w parku, dookoła toczy się normalne życie. Nie zawsze ładne.

- Choinka wcale nie jest fioletowa - oburzyła się, specjalnie koncentrując się na nieistotnym drobiazgu. - Ma kolor lawendy.

- Co za różnica? - warknął.

Nastrój prysł. Brody zasypał śniegiem ognisko, potem je przydeptał.

- Pogoda się psuje. Powinniśmy ruszać do domu.

Przez chwilę, kiedy patrzył, jak Lila łapie na język płatki śniegu, a potem rzuca Bubie szyszki, ożyła w nim nadzieja. Na co? Tego nie był pewien.

Może na szczęśliwe życie? Na to, że będzie miał z kim dzielić troski i radości? Że cieszyć go będą drobne codzienne sprawy: wybieranie w lesie choinki, rozpalanie ogniska, głaskanie psa, który obwąchuje koc, szukając okruchów najlepszych ciastek na świecie?

Niestety życie jest bardziej skomplikowane, a on i Lila stanowią swoje przeciwieństwo. Pocałunki sprawiają, że zapomina się o różnicach, ale tylko na moment.

- Brawo! - zawołała Lila, kiedy umieścił drzewo w skrzyni furgonetki. - Święta zostały ocalone.

Obejrząwszy się przez ramię, Brody zobaczył Bube, która leżała zmordowana u jej stóp; zdrowy pies by się tak nie zmęczył po krótkiej zabawie.

- Nieprawda - rzekł posępnym tonem. - Został ocalony iluzoryczny świat Lili Grainger. Świat dziewczynki, która ukradła dla brata grę wideo, pozostał taki sam.

A Buba zdechnie. Tego też nic nie zmieni, choć przez moment, kiedy widział ją ganiającą za szyszkami, bardzo chciał uwierzyć w magię świat.

- Wiesz co? - powiedziała nagle Lila. - Twoja markotność jest jak wirus. Przebywając z tobą dłużej, człowiek mógłby się nią zarazić.

Przyznał jej w duchu rację.

- Wsiadaj.

TLR

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie była pewna, dlaczego przysł cudowny nastrój. W jednej chwili czuła się jak we śnie: przystojny mężczyzna, sypiący z nieba śnieg, gorąca czekolada, rozkoszny pies, ognisko. Pomyślała sobie, że właśnie od tego powinna zacząć książkę. Żeby mieć idealne święta Bożego Narodzenia, najpierw trzeba wybrać w lesie idealne drzewko.

Potem spojrzała na usta Brody'ego i przypomniała sobie ich smak. Przeszył ją dreszcz.

Święta kojarzyły się z radością, tradycją, magią, rodziną, a tymczasem jej po głowie krążyły same zdrotne myśli. Nic dziwnego: nie sposób było obojętnie patrzeć na Brody'ego, gdy ścinał drzewo.

Stanowił uosobienie męskości, siły, pewności siebie. Potem wyciągnął się na kocu; leżał na wznak, pies na nim, płatki śniegu osiadały mu na rzesach. A ona siedziała obok i wcale nie myślała o książce. Marzyła o pocałunku.

I raptem, bez ostrzeżenia, nastrój się zmienił. Brody poderwał się na nogi, zasypał śniegiem ogień i zarządził powrót do miasteczka.

Hm, może jednak pierwszy rozdział powinna poświęcić czemuś innemu, a nie wprawie po choinkę?

- Nie sądzisz, że ścinanie drzewek to sprawa kontrowersyjna? - spytała, chcąc przerwać ciszę.

- Kontrowersyjna?

- W pewnym sensie niszczy się środowisko.

- Za kontrowersyjne uważam klonowanie ludzi.

- Kupując sztuczne drzewka, chroni się przyrodę.

Rozdział pierwszy: wybór idealnego sztucznego drzewka? Fe! Wciąż pamiętała obrzydliwą choinkę o białych igłach, która towarzyszyła jej w święta przez całe dzieciństwo.

- Czy się chroni? Zależy, jak się te sztuczne wytwarza, ile trujących substancji trafia do ziemi i powietrza.

Przyszło jej do głowy, że z kimś takim jak Brody u boku człowiek inaczej patrzyłby na świat. Pisząc książkę o idealnych świętach, zamiast myśleć o świąteczkach i choinkach, myślałaby o dziewczynce kradnącej prezent dla brata.

Zerknęła na niego spod oka. Siedział skupiony, z rękami na kierownicy. Uświadomiła sobie, że Brody świadomie zachowuje między nimi dystans. A to znaczy, że coś do niej czuje. Westchnęła. Jeżeli pragnął utrzymać dystans, powinna mieć się na baczności. Swoim zachowaniem ostrzegał ją, że może ucierpieć, jeżeli liczy na coś więcej.

A liczyła.

Dojechali do wzniesienia. Brody zredukował bieg, tylne koła na moment straciły przyczepność. Lila krzyknęła wystraszona.

- Spokojnie. Nie ma powodu się denerwować.

Gdyby nie było, nie musiałby jej pocieszać. Mógłby spytać, jakie ma plany na wieczór albo skomentować pyszne ciastka Jeanie Harper.

- Całą zimę drogi są tak śliskie? Kurczę, będę się bała usiąść za kierownicą.

- Poproś wuja, żeby dał ci kilka lekcji.

Wuja? No tak, nic dziwnego, że nie spytał, jakie Lila ma plany na wieczór. Nagle samochodem znów zarzuciło. I znów nie zdołała powstrzymać krzyku.

- Przepraszam - szepnęła zawstydzona. - W zeszłym roku przeżyłam niemiły incydent. Od tamtej pory... - Wzruszyła ramionami.

Gdyby zainteresował się, o czym mówi, pewnie o wszystkim by mu opowiedziała, mimo że powinien być skupiony na prowadzeniu auta, a nie na jej przeżyciach.

- Domyśliłem się, że coś musiało się wydarzyć.

- Wujek ci mówił?

- Nie. Zorientowałem się po ilości zamków, jakie zamontowałaś w drzwiach.

Nic nie uchodzi jego uwadze. Ale nie ocenia jej, nie potępia. Słyszała zrozumienie i współczucie w jego głosie.

Przyjrzała mu się badawczo. Pogoda i warunki drogowe nie robiły na nim wrażenia. Był odprężony, nawet wyciągnął rękę i pokręcił gałką, szukając stacji w radiu.

Wnętrze kabiny wypełniły trzaski. Chmury zakłócały odbiór. Padał tak gęsty śnieg, że szosa była ledwo widoczna. Świat przybierał kolor bieli. Wirującej bieli.

Mimo warunków atmosferycznych Lila również się odprężyła. Brody nie zdradzał najmniejszych oznak zdenerwowania, pies spał spokojnie na jej kolanach, ogrzewanie działało, zmarznięte członki powoli tajały.

Powinna była wiedzieć, że nie wolno tracić czujności.

Nagle na drogę wyskoczył ciemny, szybko poruszający się kształt. W jednej sekundzie nie było nic, w następnej przed wozem mknęło potężne zwierzę z wielkim porożem.

- Uważaj! Jeleń!

- Łoś.

Była pewna, że dojdzie do zderzenia, ale Brody wrzucił niższy bieg, po czym z całej siły zacisnął ręce na kierownicy, jakby siłą woli chciał zapobiec kolizji. Niczym na filmie w zwolnionym tempie Lila zobaczyła przerażone oczy łosia, a po chwili zwierzę wbiegło do lasu.

Łoś uniknął śmierci, furgonetka jednak ślizgała się po zaśnieżonym asfalcie w stronę opadającego stromo zbocza. Ślizgała się tak wolno, że nie wyglądało to groźnie. Potem przednie koła zawisły w powietrzu, auto zachybotało się i opadło, wbijając maską w twardy grunt.

Lila znalazła się z twarzą niemal przyklejoną do przedniej szyby. Bała się drgnąć, by furgonetka nie zaczęła zsuwać się po skarpie.

- Nic ci nie jest?

Potrząsnęła głową, zbyt przerażona, aby cokolwiek powiedzieć.

- Utknęliśmy. Ale nie martw się.

- Nie... nie martw się? - wydukała. - W każdej chwili możemy się stoczyć w dół.

Droga jest mało uczęszczana. Na zewnątrz szaleje zamieć. Robi się ciemno.

- Wiem.

Chyba nie zdawał sobie sprawy z ich położenia.

- Jesteśmy poza zasięgiem komórki - poinformowała go, coraz bardziej spanikowana.

Wybuchnął śmiechem. Podziałało to na nią niesamowicie kojąco; wszystkie lęki znikły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Śmiech oznaczał, że nic im nie grozi.

Lila odepchnęła się od deski rozdzielczej i utkwiała wzrok w Brodym.

Zobaczyła mężczyznę, który wie, na co go stać; który wierzy we własne siły i umiejętności.

- Nie jest tak źle, jak ci się wydaje - rzekł. - A teraz obejmij mnie za szyję.

Była świadoma padającego śniegu, dudniącej w uszach ciszy i zapadającego mroku, chociaż dopiero dochodziła czwarta po południu. A także tego, że przebywa w obcym sobie białym i zimnym świecie. I że jest całkowicie zdana na Brody'ego. Ale jeśli już musi być na kogoś zdana, cieszyła się, że tym kimś jest on.

Postawił ją na pochyłej ziemi, zmierzył wzrokiem, po czym wsunął się z powrotem do auta i delikatnie wyjął ze środka Bu. Suka polizała swego wybawcę po brodzie. Przez chwilę Lila widziała malujący się na twarzy mężczyzny wyraz niezwyklej czułości. Z wrażenia aż jej zaparło dech.

- Jak myślisz? Kiedy ktoś się zorientuje, że cię nie ma?

Wuj z ciotką wiedzą, że pojechała po choinkę. Raczej nie będą sprawdzali, czy już wróciła. A czy ktoś z mieszkańców zauważy, że drzewko nie pojawiło się na placu? Mała szansa. Tym bardziej, że wielkie otwarcie ma nastąpić dopiero za kilka dni.

- Może minąć trochę czasu - przyznała. - A ciebie kiedy ktoś zacznie szukać?

- Też nieprędko. Wziąłem wolne. W pracy spodziewają się mnie dopiero w poniedziałek wieczorem.

Zdała sobie sprawę, że są w identycznym położeniu. Dwoje samotnych ludzi w świecie zamieszkałym przez pary i rodziny. Nikogo nie zaniepokoi ich nieobecność. Jest sobota; najwcześniej za czterdzieści osiem godzin ktoś rozpocznie poszukiwania.

I jak osoba samotna ma pisać książkę o idealnych świętach Bożego Narodzenia? - pomyślała. Ale wolała myśleć o takich problemach, zamiast zastanawiać się nad tym, co ich czeka. Zęby zaczęły dzwonić jej z zimna.

- Przynajmniej nikt się niepotrzebnie nie będzie o nas martwił - oznajmił Brody, jakby nie przejmował się przenikliwym wiatrem i śnieżycą.

- To dobrze?

Uśmiechnął się.

- Podczas śnieżycy chłopaki zawsze mają pełno roboty. A my sobie poradzimy.

- Tak sądzisz?

- No pewnie. Niedaleko stąd jest dobrze zaopatrzona chatka myśliwego. Spędzimy tam noc, a rano ruszę po pomoc. Poproszę Bryce'a Hamptona, mijaliśmy jego farmę, żeby przyjechał traktorem i wyciągnął z rowu furgonetkę.

Noc w chacie. Sam na sam z Brodym. Lila czuła, jak przeskakują między nimi iskry; bała się, że któraś może zaproszyć ogień.

Tymczasem Brody, twardo stąpający po ziemi realista, wyjął z furgonetki wszystko, co mogło im się przydać: termos, niezjedzone ciastka, koc, piłę elektryczną.

Droga pod górę była męcząca. Lila ślizgała się, potykała o ukryte pod śniegiem korzenie. Za każdym razem Brody pomagał jej wstać i strzepać z ubrania śnieg, pocieszał ją, zachęcał do dalszej wędrówki. Ale nie tylko ona zmagiała się z zaspami i mrokiem. Pies też szedł zziębnięty.

- Na pewno wiesz, gdzie jest ta chata? - Ręce miała lodowate, rękawiczki sztywne, spodnie również, mimo że po każdym upadku Brody starannie strzepywał z niej śnieg.

A jeśli on nie zna drogi? - przemknęło jej przez myśl. Łatwo się tu zgubić. Drzewa wyglądają identycznie. Szosa została już daleko w tyle.

- Wiem na pewno - oznajmił stanowczym tonem. Głosem człowieka, któremu się wierzy. Który wzbudza zaufanie.

Z drugiej strony na tym polega jego praca. Jest policjantem. Wypadki samochodowe, napady na bank, pikiety... to jego chleb powszedni.

A może Brody tylko udaje? Cały czas szła przodem, nie widziała jego twarzy.

Odwróciła się. Nie, Brody nie udaje.

- Już niedługo. Jeszcze kilka minut.

- Muszę odpocząć.

- Nie - zaprotestował ostro.

Kiedy indziej pewnie miałyby mu za złe jego autorytatywność, ale wiedziała, że w obecnej sytuacji dwie osoby nie mogą rządzić. Jeszcze raz obejrzała się przez ramię. Hm, ciekawe, kiedy wziął Bu na ręce? Bo teraz niósł wszystko: kosz, koc, piłę i psa.

Boże, a ona ma pretensje!

- No, maszerujemy!

Zdobyła się na nadludzki wysiłek. Kiedy wreszcie doszła do kresu wytrwałości, kiedy była pewna, że nie uczyni już ani jednego kroku na tej najeżonej pułapkami stromiznie, nagle zobaczyła majaczący na tle ciemnego nieba czarny kwadratowy kształt.

Dlaczego poczuła się zawiedziona?

Bo wyobrażała sobie chatkę niczym z bajki: z gankiem, kominkiem, okiennicami. A zamiast uroczego przytulnego domku zobaczyła szałas. Budę.

Miała ochotę się rozplakać. Brody trafnie rozpracował jej charakter. Żyła w świecie fantazji.

Wewnątrz panowały egipskie ciemności. W dodatku było zimno jak w psiarni.

- Co tak śmierdzi? - zapytała z obrzydzeniem.

- Myszy, szczury.

Postawiwszy psa na ziemi, walnął o coś kolaniem i zaklął siarczyście. Po chwili w chacie rozblęsnęło światło.

Na widok wielkiego czarnego pieca, obok którego leżał stos polan, Lila odetchnęła z ulgą. Potem rozejrzała się wokoło i mina ponownie jej zrzedła. Surowa drewniana podłoga i ściany. Ani jednego okna. Nisko zawieszona wąska drewniana deska, która najwyraźniej służy za łóżko. Na środku pokoju stół z dwoma krzesłami. Szafka, której blat pokrywa jakiś biały proszek.

- Myszy dobrały się do mąki - stwierdził Brody.

Pięknie, pomyślała. Czytelnicy byliby zachwyceni. Nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Może chata nie jest wymarzoną romantyczną leśniczówką, ale przynajmniej mogą się w niej ogrzać i przespać.

Popatrzyła na Brody'ego. Był stanowczo zbyt lekko ubrany. Śnieg na włosach i na kołnierzu kurtki mu się topił, policzki nabierały rumieńców. Ręce miał gołe.

- Pewnie ci skostniały? Moje w rękawiczkach przemarzły...

- Nie, są ciepłe.

Udowodnił, że nie kłamie. Ściągnął jej rękawiczki, po czym zacisnął ręce na jej dłoniach. Bił od nich żar.

Zamknęła oczy. Nie myślała o śnieżycy, o myszach harujących w mące. Myślała o rękach Brody'ego, ich ciepłe i sile.

- Jestem straszną łajzą. Przepraszam. Nigdy dotąd nie zgubiłam się w lesie, nawet nie widziałam śniegu. Nie licząc tego razu, kiedy przyjechałam do wujostwa na święta. Wtedy śnieg kojarzył mi się z przyjemnością, z zabawą, a nie z zimnem, ze ślizgawicą...

Urwała. Boże, i jak tu pisać książkę o wspaniałym Bożym Narodzeniu, kiedy święta kojarzą się ze śniegiem, a śnieg - o czym się przekonała - oprócz zalet ma mnóstwo wad: powoduje wypadki oraz odmrożenia.

- Jak na nowicjuszkę świetnie sobie poradziłaś - rzekł Brody bez cienia ironii w głosie. Po chwili puścił jej dłonie. - Ze mną nie masz się co porównywać. Ja się tu urodziłem i znam te góry jak własną kieszeń. Mój brat i ja godzinami się po nich włóczyliśmy.

- Nie wiedziałam, że masz brata.

Poprawił lampę, następnie podszedł do pieca.

- Za pięć minut będzie jak w tropikach. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak szybko taki piecyk może nagrzać małe pomieszczenie.

Faktycznie. Ale to nie piecyk ją zadziwił, lecz Brody, jego sprawność, zaradność, pomysłowość. Obejrzał zapasy, napełnił garnek śniegiem, po chwili w drugim coś bulgotało, wydzielając aromatyczny zapach.

Nakarmił psa znalezionej w szafce mielonką z puszki, z innej szafki wyjął materac - zwinięty, aby myszy się do niego nie dobrały - ułożył go na pryczy, potem z zamkniętego plastikowego pojemnika wyciągnął pościel.

Najadłszy się, Lila ze zdumieniem odkryła, że całkiem się jej podoba ta chata. Poczowała dziwną euforię. To spóźniona reakcja, pomyślała; radość, że siedzi w ciepłe, a nie zamarza na śniegu.

- Wiesz, czuję się tu bardzo bezpiecznie...

- To dobrze. Ale tak naprawdę to ani przez moment nie groziło nam niebezpieczeństwo.

Od dawna żyła w nieustającym stresie. Podejrzewała, że nigdy nie zapomni o tym, co to znaczy być ofiarą, zwierzyną, na którą ktoś poluje.

Jednakże tu, w chacie bez zamków, z dala od ludzi, pośród bieli, która otaczała ją niczym kokon, czuła błogi spokój. Po raz pierwszy od dwóch lat się nie bała. Zdała sobie

sprawę, że nieustannie nasłuchiwanie nocami, czekanie, kompletnie ją wyczerpało. Nic dziwnego, że nie potrafi się zmusić do napisania książki.

Nic dziwnego, że ma taki mętlik w głowie.

Nic dziwnego, że Brody wzbudza w niej tak mieszane uczucia i że sama nie wie, czego chce.

Była stale zmęczona i niewyspana. Popatrzyła tęsknie na wąskie łóżko. I nagle uświadomiła sobie, że łóżko jest jedno, a ich dwoje, i jej poczucie bezpieczeństwa przysło.

Ale radość nadal się w niej tliła. Radość, euforia, podniecenie.

Bogowie chcą się na nim zemścić.

Jest w górskiej chacie z dziewczyną, od której powinien trzymać się daleko. I o której nie potrafi przestać myśleć.

Kiedy samochód wpadł w poślizg i później, kiedy wędrowali po zaśnieżonym zboczu, wiedział jedno: że gotów jest dla niej oddać życie. Od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzał, miał wrażenie, że jego spokojny świat chyli się ku zagładzie. I chociaż się przed tym bronił, w głębi duszy wcale mu to nie przeszkadzało.

Teraz w tej chacie był całkiem szczęśliwy w towarzystwie Lili. No ale zawsze był szczęśliwy na łonie natury. Przyroda miała na niego kojący wpływ. Wprowadzała ład do jego serca i głowy.

Więc dlaczego po śmierci brata nie zaszył się gdzieś z dala od cywilizacji, dopóki nie zagoją się rany?

Dlatego że przyroda kojarzyła mu się z Ethanem. Zawsze razem łazili po lasach i górach, on ze strzelbą, Ethan ze szpicownikiem.

Sądził, że gdy wróci w te miejsca sam, rany się odnowią. Ale nie wrócił sam. Wrócił z Lilą.

Przestań filozofować, nakazał sobie w duchu. Jest szczęśliwy, bo lubi wyzwania. Bo lubi rozwiązywać problemy. Zamiast marznąć na mrozie, on i Lila mają dach nad głową; dotarli do chaty, w której mogą się skryć przed nadciągającą burzą. Od samego początku Lila budziła w nim instynkt opiekuńczy; to, że się go nie boi, że czuje się z nim bezpiecznie, sprawiało mu niekłamaną satysfakcję.

Czy nadal będzie czuła się bezpiecznie, kiedy każe jej wyskoczyć z dzinsów?

Posiliła się, teraz piła herbatę. Ręk nie miała już zgrabiących z zimna, a na jej twarzy malował się spokój. Ethan potrafiłby go pięknie uchwycić na papierze. Kilka ruchów ołówkiem lub węglem i chwila byłaby uwieczniona. On, Brody, miał mnóstwo takich rysunków-chwil w pudłach, których nigdy nie otwierał.

Nagle poczuł się gotów, aby ponownie je obejrzeć. Aby zobaczyć świat oczami brata.

Mimo że w piecu się paliło, Lila zadrżała. Tak, powinna ściągnąć spodnie. W mokrych nigdy się nie ogrzeje.

- Zdejmij dżinsy.

Łypnęła na niego spod oka i udając, że nie słyszy, ścisnęła mocniej kubek.

- Odwróć się, a ty się owiń kocem. Jest suchy, w przeciwieństwie do twoich spodni.

- Twoje też są mokre.

- Lekko wilgotne. Nie upadłem tyle razy co ty.

Podał jej koc i odwrócił się. Był mile zaskoczony, kiedy wykonała jego polecenie.

- Już.

Mokre dżinsy leżały na podłodze. Podniósł je i rozwiesił nad piecem. Zdziwił go ich maleńki rozmiar.

- No dobrze, skoro nie mam na sobie spodni, to spytam: gdzie jest toaleta?

- Toaleta? - Brody zaczerwienił się.

Dla faceta każde drzewo może być toaletą. W sezonie myśliwskim korzystali z prymitywnej latryny za chatą. Ale czy takie coś nadaje się dla kobiet? W dodatku zimą? Nie chciał wysłać Lili na mróz. Bez spodni, w samym kocu. Zmarznie, zmoknie...

- A co ty na to, żeby skorzystać z wiadra?

- Chyba oszalałeś! - Z hukiem odstawiła kubek na stół i popatrzyła na Brody'ego z pretensją w oczach, jakby to on ponosił winę za brak urządzeń sanitarnych.

- Nie przejmuj się mną. Czynności fizjologiczne to rzecz zupełnie naturalna...

Urwał. Miał wrażenie, że najchętniej by go rozszarpała.

- Hm... - Nagle przyszedł mu do głowy pomysł. - Wyobraź sobie, że jesteś w lesie na biwaku. Chyba jeździłaś na biwaki?

- Nigdy.

- Nie kusilo cię?

- Na Florydzie są aligatory!

- A w Waszyngtonie nie budujemy w lesie chat z kanalizacją. - Podał jej wiadro. -

Wyjdę na zewnątrz.

- W mojej książce na pewno nie będzie chaty z wiadrem zamiast kibla!

Pies wybrał ten moment, aby puścić bąka.

- Ani puszczania śmierdzących wiatrów - dodała.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Brody uświadomił sobie, że po raz pierwszy od lat śmieje się beztrąsko. I dobrze się poczuł, jakby pustka, która w nim tkwiła, powoli się zapełniała.

TLR

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ciepło, dobrze, bezpiecznie, przytulnie.

Na zewnątrz śnieg i wiatr, a w środku spokój.

Miała poczucie przynależności. Jakby tu był jej dom.

Śmieszne. Był to dom bez kanalizacji, bez elektryczności, bez żadnych wygód czy udogodnień. Ale kiedy siedziała przy stole otulona kocem, z psem przy nogach, zerkając znad kart na Brody'ego, nie chciała się stąd nigdzie ruszyć.

- Pierwszy raz widzę, żeby ktoś oszukiwał w makao - mruknął Brody.

Rzuciwszy karty na stół, przeciągnął się.

- Nie oszukiwałam!

- Nie? - Wskazał na punktację.

Faktycznie, chyba sobie coś dopisała, ale nie zamierzała się do tego przyznać.

- Pokaż mi instrukcje!

- Po co? Należysz do ludzi, którzy czytają instrukcje, a potem i tak robią swoje.

- Daj przykład!

- Zorganizowałaś pikietę. A dobrze wiesz, że należało wystąpić o pozwolenie.

- Pikieta była w słusznej sprawie. A na pozwolenie czekalibyśmy kilka tygodni.

- No właśnie.

Uśmiechnął się. Odpreżył. Ona również.

- Dlaczego zostałeś policjantem? - zapytała. - Bardziej mi wyglądasz na rozrabiakę, a nie stróża prawa.

Uśmiech pogłębił się.

- Trochę rozrabiałem. Mam na sumieniu kradzieże owoców z cudzych ogródków, niszczenie plotów i skrzynek pocztowych. Takie tam głupoty. Ale potem zacząłem pić, wdawać się w bójkę. Któregoś dnia wylądowałem w kiciu. Kiedy się obudziłem, Hutch siedział na sąsiedniej pryczy. Okazało się, że poprzedniego wieczoru schlałem się i uderzyłem jednego z jego ludzi. Nawet tego nie pamiętałem.

- Napaść na policjanta? To poważna sprawa.

- Wiem. Zwłaszcza że kilka razy wcześniej byłem zatrzymywany za pijaństwo i wszczynanie awantur. Wiedziałem, że żaden sędzia nie spojrzy na mnie łaskawym okiem.

- I?

- Stoisz na rozdrożu, powiedział Hutch. Droga, którą wybierzesz, zadecyduje o całym twoim życiu. Zamiast mnie oskarżyć o zakłócanie porządku i napaść na gliniarza, kazał mi napisać podanie o pracę w policji. Rzucił mi koło ratunkowe. I ocalił mnie przed samym sobą. - Brody zamilkł speszony. Nie przywykł do opowiadania innym o sobie.

Lila widziała w Brodym te same cechy, które przed laty dojrzał jej wuj: prawość, honor, siłę, pracowitość, skromność.

- Twój wuj to wspaniały facet. Wszystko bym dla niego zrobił.

- Nawet pojechał z jego siostrzenicą po choinkę?

Wyszczrzył zęby.

- Nawet.

Wstał od stołu. Dalsze pytania wisiały w powietrzu: co teraz? Dokąd zmierzamy?

- Co ze spaniem? - spytała Lila, siląc się na neutralny ton.

- Dla ciebie łóżko, dla mnie i Bu podłoga.

Pieczek świetnie grzał, ale od podłogi ciągnęło chłodem. Mieli do dyspozycji koc, którym Lila była owinięta, i dwa cienkie kocyki, które znaleźli w chacie.

- Możemy podzielić się łóżkiem - zaproponowała, czerwieniąc się po uszy. Pocięszała się, że może w półmroku nie widać jej rumieńców.

- Nie, nie możemy.

- Dlaczego? - Chodziło jej tylko o jego wygodę.

- Bo Buba chrapie - odparł z powagą.

Nieprawda. Oboje dobrze pamiętali pocałunek za stodołą. Koniuszkiem języka Lila oblizwała wargi, jakby wciąż czuła jego smak. I chyba faktycznie tak było, choć od tamtej pory minęło kilka tygodni.

Brody wpatrywał się w nią intensywnie.

Wstała i postąpiła krok w jego stronę.

Cofnął się, choć wcale tego nie chciał. Zagwizdał na psa, jeszcze raz utkwiał spojrzenie w jej ustach, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł na zewnątrz.

Do środka wpadł lodowaty powiew.

Mogła na niego zaczekać. Mogła go kusić, uwodzić, ale brakowało jej doświadczenia i pewności siebie. Poza tym czuła narastającą senność.

Położywszy się na nierównym materacu, okryła się kocem. Nie była w stanie utrzymać otwartych oczu.

Brody wrócił chwilę później, strzepał z siebie śnieg, ściągnął buty. Opadły z hukiem na podłogę. Lila nie otworzyła oczu. Szelest koszuli okazał się jednak zbyt dużą pokusą.

Uniosła powieki, ale zanim zdążyła się przyjrzeć wspaniałej muskulaturze Brody'ego, ten zgasił lampę. Zapadły nieprzeniknione ciemności.

Słyszała, jak mężczyzna szykuje sobie posłanie na podłodze, a potem wsuwa się pod koc. Pies ułożył się obok swojego pana.

- Ale ciemno - szepnęła, starając się ukryć lęk.

- Uhm.

- Nie widzę nawet własnej ręki.

- Czyżby się pani bała, panno Grainger? - spytał cicho Brody.

Tak jak wtedy, gdy brnęli przez śnieżycę, jego głos sprawił, że poczuła się bezpiecznie.

- Po prostu w mieście zawsze dociera odrobina światła, a to z palącej się latarni na ulicy, a to z holu czy łazienki.

- Innymi słowy boisz się ciemności?

- Może trochę - przyznała.

- Od dziecka tak masz?

Zawahała się.

- Nie.

- Opowiedz mi o tym niemiłym incydencie. Co się stało?

Za dnia by odmówiła, ale teraz, niewidoczna w ciemności, spełniła jego prośbę.

- Rozkręcałam w internecie swój biznes „Pod Jemiołą”, jednocześnie pracowałam w dużej firmie marketingowej. Do naszego działu przyszedł nowy pracownik, Ken Whittaker, któremu bardzo się spodobałam. Nie zachęcałam go, przeciwnie, najpierw uprzejmie, a potem stanowczo mówiłam, że nie życzę sobie, aby mi nadskakiwał. Firma zwolniła go, kiedy wszystkie szuflady w moim biurku zapełnił confetti. Szefowie widzieli, że to nie jest niewinne zauroczenie. Facet miał obsesję na moim punkcie. Oczywiście winił mnie za utratę pracy. Nadal przysyłał mi wiersze i liściki, ale teraz już pełne obelg. Gdziekolwiek się ruszyłam, on czekał na mnie w samochodzie. Kiedyś, jak wybrałam się z przyjaciółmi na kolację, włamał się do mojego domu i ukradł kilka rzeczy. W końcu udało mi się uzyskać z sądu tak zwany nakaz ograniczający.

- Co tylko pogorszyło sprawę.

- Skąd wiesz?

- Jestem policjantem. I wiem, że każda próba powstrzymania prześladowcy wywołuje coraz większą jego wściekłość.

- Ponownie się do mnie włamał. W nocy. Kiedy się obudziłam, stał nade mną z nożem. Kazał mi przejść do kuchni; groził mi przez sześć godzin.

Brody zaklął pod nosem.

- Do dziś nie wiem, dlaczego mnie nie zgwałcił. Albo nie zabił. Dwukrotnie z szyi pociekła mi krew.

- Jak się broniłaś?

- Kłamałam jak najęta. Mówiłam, że go kocham. Że chcę spędzić z nim resztę życia. Że... - głos się jej załamał - chcę urodzić jego dziecko.

- Bardzo dobrze - pochwalił. - Dzięki temu żyjesz.

- Sąsiadka, która wyszła wyrzucić śmieci, akurat zerknęła w moje okno. Zawiadomiła policję. Ken trafił za kratki, ale ja nie umiałam już tam żyć. Strach przeniknął ściany domu. Postanowiłam przenieść się do Snow Mountain. Mój biznes internetowy kwitł, dostałam zaliczkę na książkę o świętach Bożego Narodzenia...

- O świętach? - spytał, a ona w jego głosie słyszała akceptację.

- Tak. O tym, co symbolizują: pokój, miłość, pojednanie. Boże Narodzenie to czas magii, cudów. - Zawahała się, po czym ciągnęła: - Wiesz, strach, który czułam, przeniknął nie tylko ściany domu, również mnie. Na wylot.

- I czekasz na cud?

Ufa mu. Może więc cud już się zdarzył?

- Tak. Chcę przestać się bać. Nie podskakiwać na dźwięk niespodziewanych kroków. Być taka jak dawniej. - Stres i zmęczenie, które towarzyszyły jej od dwóch lat, stały się nagle nie do wytrzymania. - Chcę znów spać. Przespać całą noc. Nie budzić się zrana potem, z walącym sercem.

- Lila?

- Hm?

- Śpij spokojnie. Będę czuwał.

Wtulila nos w śmierzący materac i po raz pierwszy od lat zasnęła kamiennym snem.

Wysłuchując się w jej równomierny oddech, Brody rozmyślał z wściekłością o draniu, który siedział za kratkami.

Bez względu na to, ile lat facet spędzi w więzieniu, nigdy nie naprawi krzywdy, jaką wyrządził Lili.

Brody często stykał się z łajdakami. Wszędzie się trafiali, nawet w Snow Mountain. W kontaktach z nimi zawsze był chłodny i opanowany.

Teraz uświadomił sobie, że byłby zdolny do zabicia Whittakera, gdyby po wyjściu z więzienia znów zaczął nękać Lilę. Wiedział, że tacy nigdy nie przestają.

Podłoga była twarda i zimna. Wiercił się. Starał się nie myśleć o miękkim ciele na łóżku. Kiedy Lila spytała, gdzie będą spali, wydawało mu się, że w jej głosie brzmi nieśmiałe zaproszenie. Nie skorzystał. Chciał udowodnić sobie i Hutchowi, że jest porządnym człowiekiem.

Wreszcie zasnął; chrapliwy oddech Bu podziałał na niego usypiająco.

Obudziło go ciche skomlenie. W dodatku to nie pies skomlał. Skomlenie przeszło w płacz, po chwili w krzyk.

- Zejdź ze mnie! Złaż! - wołała histerycznie Lila.

Brody zerwał się na równe nogi. Tak, w jej obronie gotów byłby pozbawić Whitakera życia.

Oczy przyzwyczyły mu się do ciemności. Lila usiłowała zrzucić... Bube.

Czym prędzej zdjął z niej psa.

- Już dobrze. To tylko Bu. Pewnie zmarła na podłodze.

Zmarła lub przyszła do Lili z miłości. Bo nie ulegało wątpliwości, że ją kocha.

Lila nie słuchała. Owinięta ciasno kocem, szlochając głośno, walczyła z niewidocznym wrogiem.

Brody zawahał się. Czy starczy mu siły? Usiadł na brzegu łóżka i wciągnął ją na kolana, następnie rozluźnił koc, tak by miała wolne ręce. Lila walczyła nieprzerwanie, teraz jednak raz po raz uderzała pięściami w jego nagi tors.

- Już dobrze - powtarzał, nie próbując powstrzymać ciosów. - Już nikt cię nigdy nie skrzywdzi.

Stopniowo jej ciosy stawały się coraz słabsze, a szloch coraz cichszy.

- Więcej cię nie skrzywdzi. Nie pozwolę mu.

Po tych słowach Lila wzięła głęboki oddech, po czym oparła głowę na ramieniu Brody'ego. Czuł, jak jej gorące łzy płyną mu po piersi.

- Brody?

- Tak, to ja.

- Przepraszam, nie wiedziałam. Wpadłam w panikę... Czuję się jak idiotka.

- Nie musisz przeproszać. Niektóre rany długo się goją. Zdarzają się i takie, które zostają z nami na zawsze.

- Masz taką, Brody? Taką niezagojoną?

Przez chwilę milczał, czując straszny ucisk w gardle.

- Chyba wszyscy mają.

Westchnęła, jakby się z nim zgadzała.

- Dlatego śpię z zapalonym światłem.

- Jak chcesz, mogę zapalić lampę.

- Nie, nie trzeba. Połóż się koło mnie. Od podłogi ciągnie.

Usłyszał w jej głosie prośbę. Chciała być trzymana. I sprawdzić, na ile może mu ufać.

Odsunęła się do ściany. Ułożył się obok, tak by jej nie dotykać. Sam sobie nie ufał. Ponownie oparła głowę na jego ramieniu.

- Brody, pocałujesz mnie?

Wiedział, że nie powinien. Z różnych powodów. Lila jest siostrzenicą szefa. On sam niewiele miał kobiecie do zaoferowania; od śmierci brata stracił chęć do życia. Choroba Bu też źle na niego wpływała.

Zdawał sobie sprawę, że między ofiarą a ratownikiem często tworzy się silna więź. Silna, lecz krótkotrwała. A Lila po tym, co przeżyła, w mężczyźnie policjancie może widzieć swój ideał, bohatera, postać heroiczną, a nie normalnego człowieka z krwi i kości, który ma własne problemy.

Był tego wszystkiego świadom. Mimo to przywarł ustami do jej ust. Poczul smak poziomek.

- Mmm, jak cudnie - szepnęła.

Zamknął jej usta pocałunkiem, który odwzajemniła tak żarliwie, jakby całe życie na niego czekała.

Ale chwila rozkoszy i zapomnienia nie trwała długo.

Bu, pozostawiona na podłodze, zatęskniła za towarzystwem. Wskoczyła na łóżko i nie dała się zrzucić; na siłę wcisnęła się pomiędzy Lilę a swojego pana i zaczęła mrużyć zachwycona tym, że się zmieściła.

- Przyszła nasza przyzwoitka - oznajmiła ze śmiechem Lila.

Dzięki Bogu, pomyślał Brody. Pogładził dziewczynę po mokrym od łez policzku. Kiedy zacisnęła usta na jego palcach, szybko zabrał rękę.

Odzyskał rozum i siłę. Lila potrzebuje przyjaciela, obrońcy, nie faceta, który wykorzysta jej chwilową słabość. Podniósł z podłogi koce, okrył nimi Lilę, siebie oraz chrapiącego psa.

- Idziemy spać - oznajmił.

Nie zaprotestowała, czyli nie była gotowa na nic więcej. On też nie był.

Pokój wypełnił się słodkim zapachem.

- Jakich używasz perfum?

- Żadnych. Mam wrażliwą skórę. Nawet mydło kupuję bezzapachowe.

Dziwne. Czyżby od paru tygodni prześladowały go omamy węchowe? Zamknął oczy. Przypomniał sobie ostatni dzień z Ethanem; obaj mieli ręce umazane czerwonym sokiem i nie posiadali się z radości, że wręczą mamie wielki kubek poziomek - sami nie zjedli ani jednej - na przeprosiny za stłuczoną karafkę. Choć od tamtej pory minęło wiele lat, wciąż widział roześmianą twarz brata, szkicującego krzak, z którego niedawno zrywali owoce.

Może zapach poziomek to dar od Ethana? Błogosławieństwo? Ethan, romantyk, wierzył w takie rzeczy, w znaki z niebios.

Brody, realista, nie.

Po prostu Lila musiała ssać poziomkowe dropsy, myć włosy poziomkowym szamponem, palić w domu świece o poziomkowym zapachu. Na pewno istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie.

Nie zamierzał jej o to pytać. Był zmęczony.

- Dobranoc, Lilo.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Obudziła się z nosem jak sople lodu, ale poza tym czuła rozkoszne ciepło. Leżeli w trójkę - ona, Brody i Bu - ściśnięci w łóżku przeznaczonym dla jednej osoby. W nocy odwróciła się tyłem do ściany i wyciągnawszy rękę nad śpiącym psem, położyła ją na ramieniu Brody'ego.

Nie cofnęła jej. Korzystając z tego, że Brody śpi, przyjrzała się dokładnie jego pełnym wargom, długim rzęsom, lekkiemu zarostowi, który ocieniał brodę i policzki, czyniąc twarz jeszcze bardziej męską.

Zadrżała i wsunęła się głębiej pod koc.

Nic dziwnego, że w chacie było zimno. Przez szpary sączyło się do środka światło, a zatem i chłód. Ścianę pokrywał szron.

Pamiętała, że przyśnił jej się koszmar, ale potem już przespiała całą noc. Dawno jej się to nie zdarzyło. Wcześniej budził ją każdy najmniejszy szmer, podmuch wiatru, kot grzebiący w ogródku, gałąź uderzająca w okno. Zrywała się spocona, z bijącym sercem, i nasłuchiwała. Czasem, siedząc w łóżku w grobowej ciszy, zastanawiała się, czy nie obudziło jej tykanie zegara.

Bu poruszyła się, otworzyła oko. I uśmiechnęła się, widząc, że leży wciśnięta między dwa ciepłe ludzkie ciała, przynajmniej tak się Lili wydawało. Uwolniwszy spod koca drugą rękę, podrapała psa za uchem. W nagrodę została polizana wielkim różowym jęzorem.

Po chwili Brody drgnął. Obserwowała z zafascynowaniem, jak unosi powieki, przeciąga się, uśmiecha leniwie. Uświadomiwszy sobie, że jej ręka wciąż spoczywa na jego ramieniu, czym prędzej ją zabrała.

Brody zerwał się z łóżka, gotów do działania. Wczoraj przez moment, zanim zgasił lampę, widziała go bez koszuli. Potem, kiedy ją trzymał na kolanach i pocieszał, czuła jego twardy umięśniony tors. Dziś w świetle poranka przyglądała mu się bezwstydnie. Szerokie ramiona, skóra opinająca żebra, twardy brzuch, na biodrach džinsy... Już po chwili jego ciało pokryła gęsia skórka, sutki zeszywniały z zimna.

Nie zwracając uwagi na ziąb, przeczesał palcami potargane włosy i kucnąwszy przy piecu, dorzucił drewna. Kiedy płomienie huczały, włożył koszulę, wsunął gołe stopy w buty, zagwizdał na psa, chwycił czajnik i wyszedł na zewnątrz.

Nawet na nią nie spojrzał. To dobrze. Czułaby się upokorzona, gdyby dostrzegła w jego oczach obojętność. Ale intuicja jej podpowiadała, że nie spojrzał, by nie zdradzić emocji, jakie nim targały.

Przeciągnęła się. Zmęczona i przerażona kobieta, która wczoraj z trudem wspinała się pod górę, znikła. Lila odrzuciła na bok koc i włożyła dzinsy. Wyschły przez noc, ale były potwornie zimne.

Zanim Brody wrócił, wygrzebała z szafek produkty spożywcze i przygotowała śniadanie.

- Znalazłam puszkę bekonu - oznajmiła, podnosząc wzrok znad patelni. - Nie wiedziałam, że można kupić bekon w puszcze.

Przez moment uważnie się jej przyglądał.

- Chodź, coś ci pokażę.

Otworzył drzwi. Wyszli na ganek. Wzruszenie odjęło jej mowę.

Ludzie stawiali w parkach elfy i machających do dzieci Mikołajów, budowali piękne domy, tworzyli wspaniałe ogrody, miasta, obrazy, muzea. Tworzyli imitacje piękna.

Ona zaś miała przed sobą piękno autentyczne. W najczystszej postaci. Panoramiczny widok na ciągnące się w oddali grzbiety górskie, jezioro, położoną w dolinie farmę, smugę dymu unoszącą się znad komina.

W nocy przestało padać, warstwa miękkiego puchu okrywała świat. Poranne słońce rozlewało się różowym blaskiem. Ziemia iskrzyła się, jakby leżały na niej miliony małych brylantów. Gałęzie uginały się pod ciężarem śniegu.

Do tego panowała cisza jak makiem zasiał, przerywana jedynie oddechem stojącego obok mężczyzny i dochodzącym z chaty trzaskiem płomieni.

Lila objęła się ramionami; nie chciała wracać do środka.

- Czy wydaje mi się, czy dziś jest zimniej niż wczoraj?

- Zawsze jest zimniej, kiedy nie ma chmur.

Nagle spostrzegła szeroki uśmiech na twarzy Brody'ego.

Trącał coś nogą. Skierowała wzrok w dół i zobaczyła sanki, tak stare, że śmiało mogłyby trafić do sklepu z antykami.

- Zanim ruszymy w drogę, muszę uzupełnić zapas drzewa - powiedział. - A ty sobie wypróbuj sanki.

Wcale nie miała ochoty wracać do domu. Wczoraj widok chaty wprowadził ją w przygnębienie, a dziś...

Zrozumiała, że szczęście nie zależy od dóbr materialnych. Że setki zamków w drzwiach nic nie dadzą. Aby czuć się bezpiecznie, trzeba pokonać strach, który trawi nas od wewnątrz.

Że Brody również nie chce opuszczać tego miejsca; pragnie zostać choć kilka chwil dłużej. Magia w świecie bez magii?

- Chyba bekon się przypala.

Wbiegła do środka. Kiedy obejrzała się za siebie, Brody stał w otwartych drzwiach oświetlony promieniami słońca, z psem u boku.

I patrzył na nią tak, że zaparło jej dech w piersi.

Godzinę później otarł z czoła pot. Właśnie ściał rosnące za chatą drzewo. Istniało w tych stronach niepisane prawo: można korzystać z cudzej gościny, ale należy zostawić więcej, niż się zużyło.

W dawnych czasach nie zawsze tego przestrzegali, o co Ethan miał do niego pretensje. Ethan za jedną użytą kłodę drewna zostawiał dwie; jeśli wypił dwa kubki gorącej czekolady, następnym razem przynosił całą paczkę.

Brody zerknął pod nogi. Kiedy skończy, drewna starczy do wiosny. Gdyby nie miał takiego brata jak Ethan, dziś byłby gorszym człowiekiem.

Przeniósł spojrzenie na Lilę. Po raz kolejny wciągała sanki pod górę. Bu dzielnie dotrzymywała jej towarzystwa. Najwyraźniej zabawa jeszcze im się nie znudziła.

Zmrużywszy oczy, przyjrzał się psu. Wyprawa po choinkę dobrze Bu zrobiła. Pisko wyraźnie odmłodziło: rozgarniało nosem śnieg, skakało, ganiało za wyimaginowanymi wiewiórkami, szczebało na zjeżdżające z górki sanki.

Czasem chorzy ludzie nagle zdrowieją, bez żadnej medycznej przyczyny.

Bu od tygodni nie sprawiała wrażenia tak zdrowej; miała mnóstwo energii, jadła z apetytem.

Lila zbliżała się zdyszana, lecz promieniejąca radością, jakby po ostatniej nocy ustąpił strach. Jakby znów była sobą, prawdziwą Lilą Grainger.

Brody podniósł z ziemi siekierę i przeciął na pół wielką kłodę. Czuł na sobie spojrzenie Lili, pełne zachwytu i uznania. Wiedział, że nie powinien kusić losu i popisywać się przed nią, ale nie mógł się powstrzymać.

- Brody, zjedź ze mną - poprosiła. - Tylko raz, co?

Popatrzył na stos drewna. Potrzebował jeszcze godziny, żeby się ze wszystkim uporać. Ale nie spieszyło mu się z powrotem do miasteczka.

- No, Brody, proszę...

Nie daj się skusić, powiedział sam do siebie. Po czym odłożył siekierę, przejął od Lili sanki i wciągnął je na sam szczyt góry.

Usiadł z przodu, kolanami niemal dotykając własnych uszu; Lila zajęła miejsce za nim i przytuliła się tak mocno, że przez grubą warstwę ubrania czuł bicie jej serca. Rękami obejmowała go w pasie, głowę wcisnęła między jego łopatki.

I ruszyli! Wiatr szczypał w policzki, pies biegł obok, Lila piszczała ze śmiechu. Po chwili on też zaczął się śmiać. Znów czuł się młody i bez troski.

Sanki nagle skrzyły.

- No widzisz, co zrobiłaś? - zażartował, lądując w śniegu.

- Ale z ciebie rajdowiec. - Dźgnęła go palcem w pierś. Żadne nie próbowało się podnieść.

Popatrzył w jej roześmiane oczy, widział radość malującą się na twarzy, i przestał się bronić. Opuścił gardę. Jakiś wewnętrzny głos wciąż cichutko powtarzał, że on, Brody Taggert, nie ma prawa być szczęśliwy, kiedy Ethan nie żyje. Ale drugi głos, znacznie donośniejszy, mówił, że należy cieszyć się życiem, korzystać z chwil szczęścia.

W tym momencie Brody uzmysłowił sobie, że umartwiając się, działałby przeciwko Ethanowi; że brat nie chciałby go widzieć z ponurą miną.

Lila spoglądała na niego wyczekująco. Jeśli ta drobna krucha istota potrafiła stawić czoło wyzwaniu, on nie będzie gorszy. Jest odważnym człowiekiem. Raz czy dwa razy

wyciągał kierowcę z płonącego wozu, raz czy dwa razy wchodził do ciemnego budynku za uzbrojonym bandytą, ale dziś potrzebował innej odwagi. Większej.

Objął Lilę w pasie i przekręcił się. Teraz ona leżała na śniegu, a on klęczał nad nią, tak by jej nie zgnieść, ale i tak, by nie mogła uciec. Chwycił w rękę garść śniegu; część sypnął Lili w twarz, część na szyję i dekolt. Wyrwała się, śmiejąc się wesoło i błagając go, by przestał.

Nie posłuchał jej. Przygwoździwszy ją do ziemi, pochylił się i zaczął zlizywać śnieg z jej skóry. Lila znieruchomiała. Spoglądała na niego zachęcająco, bardzo głodnym wzrokiem. Wstał i podciągnął ją na nogi. Koniuszkiem języka oblizała wargi. Po czym wepchnęła mu w spodnie garść śniegu.

Bawili się jak dzieci. Obrzucali się śnieżkami, uciekali, gonili, przewracali. Robili w śniegu orły, zjeżdżali na sankach w różnych pozycjach, leżąc, siedząc tyłem, bokiem. Nawet próbowali na stojąco, niczym na desce surfingowej. Upadali tyle razy, że mieli śnieg pod kurtką, pod swetrem, w spodniach, w skarpetach.

Całowali się; każdy pocałunek trwał odrobinę dłużej od poprzedniego.

- Zostańmy tu - szepnęła. - Do jutra. W poniedziałki sklep jest zawsze zamknięty.

Brody'ego oczekiwano w pracy dopiero wieczorem. Zawahał się. Wczoraj podjął słuszną decyzję: lepiej było spędzić noc w chacie, niż brnąć w śnieżycy do miasta. Ale dziś...

- Jeśli Marla lub Paul zorientowali się, że nie ma cię w domu, będą zaniepokojeni.

- Jestem dorosła! Nie muszę przed nikim się spowiadać.

Pogubiła się. Normalna, trzeźwo myśląca Lila wolałaby ciotce i wujowi oszczędzić zmartwień. Jeszcze jedna noc... Jego też kusiło.

- Wejźmy do środka - zdecydowała Lila. - Napijemy się gorącej czekolady, wysuszemy ubranie i zastanowimy się, co dalej.

Wiedział, że kiedy przekroczą próg, gorąca czekolada będzie ostatnią rzeczą, na jaką się rzucą.

Nagle w ciszę wdarł się narastający hurkot. Brody obejrzał się przez ramię. Pod górę pędziło pięć maszyn.

- Boże, co to? - spytała Lila, wytrzeszczając oczy, jakby obserwowała lądowanie Marsjan.

- Skutery śnieżne - odparł.

- Człowiek myśli, że jest sam na świecie, a tu proszę - mruknęła niezadowolona.

- Mam nadzieję, że to nie po nas.

A jednak. I decyzja, czy wracać dziś czy jutro, została podjęta za nich.

Skutery zatrzymały się. Hutch, który pewnie od lat nie siedział na takiej maszynie, zsiadł na sztywnych nogach i rozpiął kask.

- Wuj Paul? - zdumiała się Lila. - Co tu robisz?

Brody nie pytał. Znał odpowiedź.

- Niepotrzebnie zorganizowałeś akcję ratunkową - rzekł zirytowany. - Nic nam nie jest.

- A te orły na śniegu? To nie sygnał SOS? - Przez chwilę szef policji patrzył na ślady pozostawione przez stare sanki. - Zjeżdżaliście na tym? - spytał z niedowierzaniem.

Brody wzruszył ramionami.

- Głównie Lila - odparł tonem siódmoklasisty przyłapanego na podglądaniu dziewczyn przebierających się w szkolnej szatni. - Dla niej śnieg to nowość - dodał po chwili. - Dlatego zostaliśmy dłużej. - Psiakość, mówi tak, jakby się usprawiedliwiał. - Nie wiedzieliśmy, że ruszysz z misją poszukiwawczą.

- Marła się niepokoiła, kiedy nikt u Lili nie odbierał telefonu. Koło północy zadzwoniłem więc do ciebie, myśląc, że... - Hutch nie dokończył, ale z jego groźnej miny nietrudno było wywnioskować, co pomyślał.

A biedna Lila tak butnie deklarowała, że jest dorosłą kobietą, która przed nikim nie musi się spowiadać!

- Kiedy okazało się, że ciebie też nie ma, stwierdziłem, że furgonetka musiała utknąć w śniegu. A ponieważ chłopaki wybierały się na przejażdżkę, postanowiłem się do nich przyłączyć. Znaleźliśmy twoje auto przy drodze. Uznałem, że przenocowaliście w chacie. To było wasze ulubione miejsce, twoje i Ethana.

- Kim jest Ethan? - spytała Lila, po raz pierwszy zabierając głos.

Brody zobaczył wyraz ulgi na twarzy szefa. Skoro nie opowiedział jej o Ethanie, to znaczy, że nie spali z sobą; gdyby mu na niej zależało, nie miałby przed nią tajemnic.

Takie było rozumowanie Hutch'a. Czy słuszne? Faktycznie, nie zwierzył się Lili z tego, co go boli: śmierci brata, choroby Bu.

Skutery przyjechały w samą porę.

- Jedź z wujem - zwrócił się do dziewczyny. - Ja posprzątam i pozamykam.

- Zostanę z tobą.

- Nie. Wracaj z wujem.

Wczoraj na takie dictum pewnie by się rozplakała. Dziś ogarnęła ją złość.

- Zadzwoń do ciebie - powiedział, nie przejmując się tym, co sobie Hutch pomysli. - Masz jakieś plany na wieczór?

- Żadnych. - Uśmiechnęła się tak, jak inne kobiety na widok pierścionka z brylantem.

W jego sercu zaświtała nadzieja. I po raz pierwszy od prawie siedmiu lat Brody Taggert uświadomił sobie, że pragnie czegoś więcej niż wciągać powietrze i je wydychać.

Pragnie żyć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Siedziała przed komputerem, wpatrując się w ekran, i czekała na dzwonek telefonu.

Po wczorajszej przygodzie byłoby całkiem zrozumiałe, gdyby dziś zrobiła sobie dzień wolny od pracy. Nie była jednak zmęczona, wprost przeciwnie, tryskała energią. Wpadła do domu i włączyła komputer. Dokładnie wiedziała, od czego powinna zacząć pisanie książki. Rozdział pierwszy: Zabawy w śniegu.

Zabawy w śniegu to różne fikołki, robienie orła, lepienie bałwana, budowanie twierdzy, śnieżne rzeźby. To również jazda na skuterze śnieżnym - och, co za fantastyczne przeżycie!

A także inne sporty, których jeszcze nie miała okazji poznać. Jazda na toboganie, na nartach, na łyżwach, na snowboardzie, łowienie ryb w przerębli. Lista była nieograniczona.

Mimo że po głowie krążyły jej dziesiątki pomysłów, ekran komputera pozostawał pusty. Zaczynaj od tego, co czułaś, pędząc na saniach w dół ośnieżonego zbocza, nakazała sobie. Gdyby potrafiła to opisać, miałyby murowany bestseller.

Chyba nigdy tak dobrze się nie bawiła jak wtedy, gdy obejmując Brody'ego w pasie, śmigała po białym puchu! Potem się wywrócili... Przypomniała sobie ciężar jego ciała, spojrzenie, dotyk warg zlizujących śnieg z jej szyi.

- Zbyt seksowne jak na książkę o świętach - uznała. Nie wiedziała, ile z tej frajdy było zasługą śniegu, mrozu, wiatru wiejącego w twarz, a ile bliskości Brody'ego.

Nagle naszły ją wątpliwości. Pisać o śniegu, o sankach i łyżwach? Wielu czytelników mieszka na terenach, gdzie śnieg nie pada. Znalazła w wyszukiwarce mapę Stanów i westchnęła. Jak tak dalej pójdzie, książka nigdy nie powstanie.

Ponownie wbiła wzrok w zegar na ekranie. Zbliżała się czwarta po południu. Czy Brody wrócił już do miasteczka? Czy myśli o niej? Jeśli tak, czy serce bije mu szybciej?

Poddała się. Wstała od biurka, przeszła do sypialni i otworzywszy szafę, usiłowała wybrać strój na wieczór. Na wieczór, który miała spędzić z Brodym.

Czuła się jak nastolatka czekająca nerwowo na telefon od chłopca, w którym podkochuje się od roku, a który dopiero niedawno zwrócił na nią uwagę.

- Lila, weź się w garść. Doróżnij.

Ale nie miała ochoty dorastać. Czy dorośli rzucają się na śnieg i wymachują energicznie ramionami, by stworzyć najpiękniejszego orła? Czy zjeżdżają na sankach, piszcząc przy tym z uciechy?

Dorosłość kojarzyła jej się z monotonią, z zasklepieniem, z przewidywalnością, czyli przeciwieństwem zabawy, spontaniczności, śmiechu.

Zmieniła swoje życie - przeniosła się w nowe miejsce, otworzyła nowy biznes - ale zmiany dotyczyły spraw zewnętrznych. Teraz zaś marzyła o prawdziwej zmianie.

Hm, co by na wieczorne wyjście włożyła osoba odważna, żywiołowa, wyzwolona? Wyjęła z szafy dzinsy, do tego jaskrawoczerwoną koszulę z jedwabiu. W razie czego może rozpiąć górny guzik. I włożyć seksowny czarny stanik, który ładnie podkreśli piersi.

Szukając stanika w szufladzie, nagle doznała olśnienia. Zrozumiała, dlaczego się tak męczy z książką, dlaczego nie jest w stanie napisać jednego sensownego zdania na temat idealnych świąt.

Ponieważ cały czas chce pisać o rzeczach mało ważnych: o bombkach i błyskotkach, o ubieraniu choinki i strojeniu domu, o zabawie w śniegu. Pomija istotę Bożego Narodzenia. Bo Boże Narodzenie to nie pięknie opakowane prezenty, nie srebrne aniołki na drzewku i nie migoczące lampki. Podczas Bożego Narodzenia nie chodzi o elfy w parku ani o wybór idealnej choinki. Podczas Bożego Narodzenia chodzi o pozytywne emocje. O miłość.

Z przerażeniem Lila zdała sobie sprawę, że usiłowała zappełnić pustkę w swoim życiu, tworząc iluzję idealnych świąt. A teraz... teraz miłość zapukała do jej drzwi.

Ma szansę kochać i być kochana. Żyć pełniej, czuć więcej, odzyskać radość i bez troskę, którą straciła przez swojego prześladowcę.

Zakochała się w Brodym Taggercie. Lub jest na najlepszej drodze do zakochania. Nie może stchórzyć, nie może pozwolić, aby strach ją znów pokonał.

Ciszę przerwał dzwonek telefonu.

Chyba popełnił błąd, zapraszając Lilę na niedzielny szwedzki stół do Mamy Chan. Nie dlatego, że jedzenie było niedobre. Przeciwnie, było wyśmienite. Podejrzał, że nigdzie w całym stanie nie robiono lepszego kurczaka w sosie migdałowym. A u Mamy Chan Brody miał fory. Ilekroć Mama go widziała, pędziła do kuchni, żeby przygotować mu coś wyjątkowego.

- Ognista miska - oznajmiła dziś, stawiając przed nim danie. - Krewetki w stylu syczańskim. Przysmak kochanków.

Błąd polegał na tym, że była to jedyna dobra restauracja otwarta w niedzielę, a więc zjeżdżało się do niej pół miasteczka. Innymi słowy nazajutrz wszyscy w Snow Mountain będą wiedzieli, że Brody był tu z Lilą na kolacji.

- Przysmak kochanków? - szepnęła Lila z błyskiem wesołości w oczach.

Miała na sobie opiętą czerwoną koszulkę, która kusząco odsłaniała dekolt.

- Nie będzie ci do śmiechu, kiedy twoja ciotka usłyszy, że cię tu zaprosiłem.

- A usłyszy?

- I to zanim wrócisz do domu.

- Żartujesz, prawda?

- Bynajmniej. Witaj na amerykańskiej prowincji. - Brody uniósł kieliszek, jakby wznosił toast.

- Hm. - Ignorując sztucce, o które na wszelki wypadek Brody poprosił, Lila wyjęła pałeczkami krewetkę z miski. - Innymi słowy, życie toczy się tu na oczach całego miasteczka?

- Zwykle tak. Oczywiście możemy zabawić się z plotkarzami i dostarczyć im tematu.

Podjęła grę i uśmiechając się szelmowsko, przysunęła się bliżej. Po szyi Brody'ego popłynęła strużka potu. Chryste, pod czerwoną koszulką Lila ma czarny koronkowy stanik!

Wolnym ruchem podsunęła mu do ust krewetkę. Kiedy zacisnął na niej zęby, w lokalu zapadła cisza jak makiem zasiał.

Najdziwniejsze było jednak to, że kiedy popatrzył w roześmiane oczy Lili, wcale nie miał wrażenia, jakby udawali. Jakby jedynie chcieli dostarczyć gościom tematu do plotek.

Czuł się tak, jak w chacie na śnieżnym zboczu. Jakby tylko oni istnieli na świecie. Na świecie, który pachniał poziomkami.

Po pewnym czasie do stolika podeszli państwo Andersonowie, by podziękować Lili za jej starania o przywrócenie świątecznej ekspozycji. Obiecali, że przyjdą piętnastego na uroczyste otwarcie.

- Też przyjdiesz? - Lila spytała Brody'ego, gdy znów zostali sami. - Byłoby mi miło - dodała z rozczulającą nieśmiałością.

- Zjadą się dziennikarze?

- Chyba tak.

- Jak usłyszą, że coś nas łączy...

- A łączy?

- Oni tak myślą - odparł wymijająco, wskazując na ludzi w lokalu, z których część ledwo ukrywała zaciekawienie nową parą, a część nawet nie próbowała nic ukrywać.

- Nie obchodzi mnie, co oni myślą. Chcę wiedzieć, co ty myślisz. Czy jesteśmy na randce?

Problem polegał na tym, że patrząc Lili w oczy, nie mógł się skupić. Randka. Czy są na randce? Pierwsza randka oznacza początek, chęć poznania się nawzajem. Zakłada możliwość drugiej, trzeciej...

A potem co? I nagle pomyślał o roześmianych dzieciach skaczących po sianie. I o poranku, kiedy turlał się z Lilą w śniegu. Czuł się taki młody, beztroski, pełen energii. A także nadziei.

- Tak - przyznał ochrypłym głosem. - Możemy to uznać za pierwszą randkę.

- Wcale nie mam wrażenia, jakby była pierwsza.

- To dlatego, że spędziliśmy ze sobą noc. W jednym łóżku. Ty, ja i cuchnący pies.

- Może. Ale to dobrze. Bo na pierwszej randce człowiek zwykle bywa spięty, a ja jestem.

Wstrzymał oddech; czekał.

- Szczęśliwa - dokończyła.

Wczoraj pewnie by się przestraszył. Nie chciałby być odpowiedzialny za cudze samopoczucie. Ale wczoraj był innym człowiekiem. Tymczasem dziś tliła się w nim nadzieja.

- Ja też - stwierdził, po czym nabił krewetkę na pałeczkę i podał ją Lili.

W ten sposób, częstując się nawzajem, spałaszowali całą ognistą misę.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - przypomniała sobie Lila, kiedy skończyli jeść. - Czy przyjedziesz na wielkie otwarcie?

- Naprawdę ci na tym zależy? Skinęła głową.

- Dobra. Druga randka będzie piętnastego. Ale ostrzegam, biorę ze sobą strzelbę. Jeśli Jade Flynn podejdzie do mnie choćby na krok...

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy ponad pustymi talerzami.

- Chcesz dostarczyć miejscowym kolejnego tematu do plotek? - zapytała Lila. - Mam w domu film na kasecie. O świętach. Podobno przezabawny.

Wybór filmu czasem wiele mówi o człowieku. Brody uświadomił sobie, że chciałby być takim facetem, który siedzi z dziewczyną na kanapie i trzymając ją za rękę, ogląda komedię.

- Nie bardzo lubię filmy o tematyce świątecznej - zauważył.

Przełamała w pół chińskie ciasteczko i wyjęła ze środka małą karteczkę.

- Dotrzesz do miejsca, w którym nigdy dotąd nie byłeś - przeczytała. - Chyba już dotarłam. A twoja wróżba?

- Wiele radości w zupie.

- Zmyślasz!

Podał jej karteczkę.

- A niech mnie! - Wybuchnęła śmiechem.

On również. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak zdrowo i radośnie się śmiał. Miłe to było uczucie.

- Mam też inne filmy.

Psiakrew, z jednej strony pragnął tego, co widział w jej oczach, z drugiej nie chciał, by rządziły nim emocje.

- Dobra - mruknął w końcu.

Po przyjeździe do domu Lila poprosiła Brody'ego, żeby przejrzał jej kolekcję DVD, sama zaś udała się do kuchni, by zaparzyć kawę. Wybrał film akcji, jeszcze w firmowym opakowaniu. Zerwał folię, wsadził płytę do odtwarzacza, po czym zaczął krążyć po salonie, sprawdzając, czy któraś ze świec nie ma zapachu poziomek. Żadna nie pachniała poziomkami.

W rogu pokoju stała choinka, za wcześnie przyniesiona, bo już gubiła igły. Wisiało na niej ze sto czerwono-zielonych skarpet obszytych futerkiem, a z każdej wystawał ma-
lutki pluszowy piesek o niezbyt ładnej mordce.

- To Brzydaski - oznajmiła Lila, wyłaniając się z kuchni. - Uwielbiam je. Zobacz, ten do złudzenia przypomina Bu.

Faktycznie. Brody uśmiechnął się. Niesamowite, że ona też lubi brzydkie psy. Powinien mieć się na baczności, bo zaraz dojdzie do wniosku, że Lila to idealna kobieta. A może już doszedł? Skrzywił się.

- Brody, co się stało? - Podeszła bliżej i pogładziła go po policzku.

- Nic. Oglądamy?

- Który film wybrałeś?

Gdy pokazał jej opakowanie, Lila się wzdrygnęła.

- Wiesz co? Wolalabym porozmawiać. Wzruszywszy ramionami, usiadł na kanapie. Lila obok.

Ich kolana się stykały. Nalała z dzbanka kawy, pociągnęła łyk, odstawiła filiżankę i przez moment intensywnie wpatrywała się Brody'emu w oczy.

- Dlaczego tak bardzo nie lubisz świąt?

- Mówiłem ci. Święta to nie tylko kolędnicy, prezenty, szlachetność. To także ludzkie nieszczęścia, smutki, przestępstwa.

- Ale mój wujek widuje te same przestępstwa co ty, a mimo to uwielbia Boże Narodzenie.

Brody westchnął i zamknął oczy. Poczuł, że ani sekundy dłużej nie udźwignie tego ciężaru. Musi jej powiedzieć prawdę.

- Mój brat nie żyje - powiedział wolno. - To będą moje siódme święta bez niego. Nic nie jest takie jak dawniej. Święta przestały sprawiać mi radość. Odczuwam jedynie pustkę.

Był zadowolony, że się przemógł. Chciał, by Lila poznała o nim prawdę, zanim sprawy zabrną za daleko.

- Powinnaś o tym wiedzieć, o tej pustce, która we mnie tkwi. I której nic nie jest w stanie zapełnić.

Zacisnęła dłoń na jego rękę.

- Opowiedz mi o nim - poprosiła.

- Może kiedy indziej.

Przez moment milczała.

- Brody, czy to ten brat, o którym kiedyś wspomniałeś?

- Tak. - Potarł czoło.

Obserwowała go bez słowa. Przypomniła sobie ulgę, jaką poczuł, kiedy opowiedział jej o dziewczynce przyłapanej na kradzieży prezentu dla brata.

Może więc...? Zamknął oczy. Milcz, nakazał sobie. Nie posłuchał. W powietrzu unosiła się intensywna woń poziomek.

- Byłem o trzy lata starszy od Ethana. Dziś trzy lata to tyle co nic, ale wtedy... Wtedy ja byłem tym ważnym, tym przywódcą, podżegaczem, obrońcą, nauczycielem.

Lila zacisnęła mocniej dłoń.

- Masz wyrzuty sumienia z powodu jego śmierci?

- I to jakie!

- Nie poczułbyś się lepiej, gdybyś mi o wszystkim opowiedział?

Otworzył oczy. W spojrzeniu Lili zobaczył mądrość, dojrzałość, głębię. Zdał sobie sprawę, że może w pełni jej zaufać. I że to rzadkość znaleźć kogoś takiego w dzisiejszym okrutnym świecie.

Może, przemknęło mu przez myśl, uzyska to, na czym od lat tak bardzo mu zależy: przebaczenie.

- Mieliśmy całkiem odmienne charaktery - zaczął - mimo to łączyła nas silna więź. Ethan był spokojnym introwertykiem o duszy artysty. Ja uwielbiałem komedie i filmy

akcji, on teatr i kino europejskie. Ja wychodziłem grać w hokeja na ulicy, on wolał czytać książkę pod drzewem. Kiedy szliśmy razem w góry, ja zabierałem strzelbę, on węgiel i szkicownik. Ja niczego się nie bałem, Ethan zaś bywał ostrożny. Nie tchórzliwy, ale właśnie ostrożny. Zastanawiał się nad konsekwencjami swoich czynów, ja nigdy. Na pogrzebie ludziom nie mieściło się w głowie, że to właśnie on zginął. Nawet zewnętrznie się różniliśmy. Ja jestem śniady, umięśniony, typ futbolisty. On był jasny, szczupły; bardziej przypominał długodystansowca. Jednak mimo różnic zawsze się dogadywaliśmy.

Na moment Brody zamilkł. Wiedział, że dotarł do punktu zwrotnego; potem nie będzie już odwrotu. Po chwili wahania podjął decyzję, by kontynuować.

- Dogadywaliśmy się, dopóki nie pojawiła się Darla.

Nikommu o Darli nie mówił. To był ten sekret, który tak bardzo mu ciążył; który powodował wyrzuty sumienia, który...

- Opowiedz mi o niej - poprosiła Lila, jakby wyczuwając, o co chodzi.

Zaklął pod nosem. Sam z sobą toczył zaciętą walkę: z jednej strony korciło go, żeby wstać i wyjść, z drugiej, by pozbyć się balastu, tego kamienia u szyi.

- Brody.

Czuł, jak się poddaje; jak jego ciało się odpręża, a napięcie, które towarzyszyło mu od lat, powoli ustępuje.

- Tamtego lata miałem dwadzieścia lat, pracowałem jako drwal. Zarabiałem nieźle. Zacząłem spotykać się z dziewczyną o imieniu Darla. Była śliczną głupiutką blondynką, która po ukończeniu szkoły powiększyła sobie piersi. Strasznie mi się podobała, choć pewnie dziś bym nie zatrzymał na niej oka.

Stała się dziwna rzecz. Opowiadając Lili o przeszłości, z każdym słowem Brody czuł się silniejszy. Jakby całymi latami tkwił przygnieciony masywnym głazem, spod którego wreszcie zaczął się uwalniać.

- Darla zupełnie nie była w typie Ethana, a jednak się w niej zakochał. Od pierwszego wejrzenia. Po kilku tygodniach zmienił się, chciał pokazać, jaki z niego twardziel; zaczął mnie atakować, popychać, wyzywać...

- Musiało ci być ciężko - powiedziała Lila. - Wcześniej cię szanował, podziwiał, a potem nagle...

- Fakt, jego zachowanie działało mi na nerwy - przyznał Brody. - Dziś trochę lepiej go rozumiem. Po prostu był zły. Uważał, że takie dziewczyny jak Darla zawsze będą się trafiać takim facetom jak ja, a nie takim jak on. Z wiekiem przejrzałby na oczy, przekonał się, że Darle niewiele sobą reprezentują, a macho w końcu dorosną i marzą o kimś miłym i mądrym, a nie tylko seksownym. Tyle że te mądre i miłe dziewczyny nie chcą ich już znać.

Zamilkł. Gdyby Lila się odezwała, pewnie by nie kontynuował, ale siedziała cicho, z ręką na jego kolanie, więc po chwili podjął przerwany wątek.

- W końcu się pobiliśmy. Wybierałem się z Darlą nad jezioro. Ethan chciał z nami iść. Sprzeciwiłem się. Pewnie nie po raz pierwszy w życiu, ale tym razem się wściekł, i zaczął mi wymierzać ciosy. Usiłowałem go powstrzymać, ale ponieważ się śmiałem, w niego wstąpiła furia. Stłukliśmy jedną z mamy karafek, starą, z połowy dziewiętnastego wieku. Wtedy Ethan natychmiast się uspokoił. Stłuczoną karafkę ukryliśmy. Znów byliśmy braćmi, nie wrogami, i nerwowo zastanawialiśmy się, jak mamę przeprosić. - Uśmiechnął się na wspomnienie tamtej chwili. - Wpadliśmy na pomysł: poziomki. Poszliśmy do chaty, którą znasz, spędziliśmy tam noc, a rano ruszyliśmy do lasu. Było jak za dawnych czasów, tylko my dwaj. Rozmawialiśmy, żartowaliśmy. Potem spędziliśmy w chacie kolejną noc. Ethan siedział przy lampie, rysując. Mimo poziomek baliśmy się wrócić do domu i spojrzeć мамie w oczy. Nazajutrz rano daliśmy мамie dzbanuszek jej ukochanych owoców. Niewiele to pomogło. Była wściekła z powodu karafki, więc postanowiliśmy zniknąć z domu na resztę dnia. I wybraliśmy się w trójkę, z Darlą, nad jezioro.

Wzdrygnął się i ponownie zamilkł.

- Mów...

- W tamtym miejscu rzeka płynie wartkim nurtem, wpada do jeziora, dalej są progi, wodospady. Wylegiwaliśmy się na skałach. Było fantastycznie. A potem nagle w jednej sekundzie wszystko się zmieniło. Na zawsze.

- Co... co się stało? - spytała szeptem Lila.

- Na jakimś wcześniejszym odcinku rzeka porwała szczeniaka. Najpierw usłyszeliśmy przerażony pisk, potem zobaczyliśmy unoszący się na wodzie łepiek. Darla wpadła

w histerię. Mój brat spojrzał na nią, później na mnie. Pamiętam wyraz jego twarzy: jakby uznał, że teraz pokaże Darli, na co go stać. Zanim się zorientowałem, już go nie było. Skoczył za psiakiem w skłębiony nurt i po chwili znikł mi z oczu.

- Och, Brody...

Miał wrażenie, jakby po latach wyłonił się z kipieli. Jakby wreszcie mógł oddychać. Nie był sam. Już nie. Lila była obok, dzieliła jego ból.

- Ethan nie był na tyle silny, żeby poradzić sobie z prądem. Te progi... wszystko wiruje, bulgocze. Podejrzewam, że nawet ja nie dałbym rady. Tyle że ja miałem tego świadomość, a on nie. To nas też różniło: ja byłem realistą, a Ethan urodzonym optymistą.

Urwał. Wziął głęboki oddech. Powietrze było inne, czystsze.

- Ratownicy znaleźli go nazajutrz. Powiedzieli, że zginął na miejscu; uderzył głową w głaz. Nie cierpiał. Cierpią żywi.

- Czyli ty? - szepnęła Lila.

- Jego śmierć zmieniła nas wszystkich. Mama nie mogła sobie darować awantury, jaką nam urządziła. Ja ciągle robiłem sobie wyrzuty. Dlaczego pozwoliłem Ethanowi ratować psa? Dlaczego sam nie rzuciłem się szczeniakowi na ratunek? Dlaczego nie złapałem brata, zanim skoczył? Tym skokiem chciał zaimponować dziewczynie! Mojej dziewczynie! Wpadłem w depresję. Było mi wszystko jedno, co się ze mną stanie. Wiesz, kto mnie ocalił? Twój wujek. I Bu.

- Bu?

Poczuł ucisk w gardle.

- Szczeniak przeżył. Leżał przytulony do Ethana. Warczał i próbował gryźć, kiedy ratownicy chcieli go podnieść. Był w okropnym stanie, łapy miał połamane; nigdy się dobrze nie zrosły. Ludzie nie rozumieli, dlaczego się nim zaopiekowałem. Właściwie sam tego nie pojmowałem. Ale wziąłem tego psa. Karmiłem go, głaskałem, wyprowadzałem na spacer. Nauczyłem się być człowiekiem odpowiedzialnym, myśleć nie tylko o sobie, o swoim bólu i swojej złości. Któregoś dnia postawiłem kufel na podłodze; dużo w owym czasie piłem. Bu podeszła i wsadziła do kufła łeb. Wybuchnąłem śmiechem. Nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek będę się śmiał. Może to zabrzmiało strasznie patetycznie,

ale dzięki tej psinie miałem po co żyć. Dzięki niej stałem się człowiekiem, z którego Ethan byłby dumny.

Urwał. Urwał, zanim powie za dużo. Zanim straci to, co zyskał, opowiadając Lili o śmierci brata.

A teraz Bu umiera, pomyślał. Ona jest ogniwem, które łączy mnie z Ethanem. Nie wiem, co zrobię, jak jej zabraknie. Nie, nie zabraknie. Przecież w ostatnich dniach Bu zachowywała się jak młody psiak, ganiała, miała mnóstwo energii, odzyskała apetyt.

Po raz pierwszy, odkąd rozpoczął swą opowieść, Brody skierował wzrok na Lilię. Po jej policzkach spływały wielkie, lśniące łzy. Znów poczuł ucisk w gardle, pieczenie w oczach.

Przyciągnęła go do siebie, gładziła po włosach, przemawiała czule. Jej głos był niczym kojący balsam.

Zdał sobie sprawę, iż od wypadku Ethana cały czas towarzyszy mu świadomość, że szczęście to coś ulotnego; może prysnąć jak bańka mydlana.

Teraz w ramionach Lili zrozumiał, że sytuacja odwrotna też jest możliwa. Można pokonać smutek i znów wieść szczęśliwe życie.

Kiedy tak siedział, czując ciepło bijące od Lili i mając świeżo w pamięci wspólną zabawę na śniegu, niemal gotów był uwierzyć w cud. W cud, któremu na imię jest miłość.

Na razie jednak był koszmarnie zmęczony. Chociaż chciał zostać u Lili, wiedział, czym to się skończy. Wstał. Kiedy pójdą do łóżka, to będzie świadoma decyzja, nie impuls.

Po raz pierwszy od sześciu i pół roku w domu powitała go cisza.

- Bu!

Nie przybiegła, merdając ogonem. Nie czekała z wywieszonym jęzorem i miłością w oczach. Zrozumiał, że psina odeszła. Że cuda się nie zdarzają.

Osunął się na kolana. Serce pękało mu z bólu.

Nigdy więcej nie chciał kochać. Nie chciał marzyć. Nie chciał wierzyć w cuda ani mieć nadziei, że będzie lepiej. Bo nie będzie.

Nadzieja, wiara, miłość... one potrafią powalić najsilniejszych.

Przez moment sądził, że znalazł azyl w ramionach Lili, ale to był tylko sen, piękny krótki sen.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Stał przed biurkiem swojego szefa. Został wezwany pod sam koniec dyżuru. Podejrzewał, że musiała wpłynąć na niego skarga, może nawet kilka. Cały dzień wlepił ludziom mandaty; nie wzruszały go błagania o litość.

Czy to on jest winien, że ładowali prezenty po sufit, zasłaniając w samochodzie widoczność?

Że przejęci świątecznymi sprawunkami, łamali wszystkie przepisy drogowe?

- Jeśli nie chcesz mandatu - powiedział do Herba Watersa - zwolnij, przejeżdżając koło szkoły.

Herbowi nie spodobała się ta rada. Ale jeśli Herb się poskarżył, Hutch słowem o tym nie wspomniał.

- Karl Jamison zamierza przejść na emeryturę - oznajmił szef. - I się ożenić.

Wiadomość zaskoczyła Brody'ego.

- Jamison? Ożenić? A kto by go chciał?

- Najwyraźniej Jeanie Harper.

Jamison, ten miotający przekleństwa twardziel, uznał, że warto zaryzykować? Że nie ma sensu spędzać życia w pojedynkę? Brody poczuł ukłucie zazdrości.

Ale tylko przez moment. Zaraz potem przypomniał sobie świeżo rozkopaną ziemię w ogrodzie, gdzie pochował owiniętą w niebieski koczek Bu; obok położył jej ulubioną zabawkę, pomarańczowe frisbee.

- Znasz Karla; do cierpliwych nie należy. Już pod koniec lutego wyrusza w podróż poślubną, statkiem na Karaiby.

Brody'ego znów zakłuło serce - być z ukochaną osobą w tropikach - szybko się jednak otrząsał. Przecież uwielbia chłodny klimat! Nigdy za tropikiem nie przepadał.

- Masz pomysł, kto mógłby go zastąpić? - spytał Hutch.

Owszem, Brody znał gościa, który - tak jak on przed laty - potrzebował pomocnej dłoni.

- Może Mike Stevens?

Hutch uśmiechnął się szeroko.

- Czytasz w moich myślach, chłopcze. - Widząc skwaszoną minę swojego młodego przyjaciela, zmarszczył czoło. - Telefon urywa się od rana. Ludzie narzekają, że zatrudniłem w policji największego ponuraka na świecie. Takiego jak Ebenezer Scrooge z Dickensa. I wcale nie chodzi im o Karla.

Brody milczał.

- Co się stało, synu?

Błagam, nie mów tak do mnie! Już i tak ledwo panuję nad emocjami. Wiedział, że prędzej czy później ktoś zauważy, że Bu nie depcze mu po piętach i nie zostawia sierści na tylnym siedzeniu radiowozu. Prędzej czy później będzie musiał powiedzieć wszystkim, że pies nie żyje.

Równie dobrze może to zrobić teraz.

- Bu nie żyje.

Hutchowi opadła szczeka.

- Jak to? Dlaczego?

- Rak.

- O Chryste. - Oczy Hutcha zasły łzami.

- To był tylko pies - rzekł Brody obcym głosem.

- Nie gadaj bzdur! - zezłościł się Hutch. - Bu była jedną z nas. Nie dostała tytułu psa policyjnego, bo ubezpieczyciel kazałby ją wysłać na jakieś specjalistyczne szkolenie, ale do cholery, Brody, była jedną z nas.

Głos Hutcha powoli przenikał przez lodową tafłę, topił ją. Brody milczał; bał się rozkleić.

- Ty najlepiej wiesz - kontynuował szef - że życie potrafi wymierzać ciosy, i to bolesne. Ale podpowiada nam również, jak sobie radzić z cierpieniem. Trzeba tylko się w siebie wsłuchać.

Owszem, podpowiada, a czasem nawet daje broń do walki z bólem. Brody dobrze o tym wiedział. Taką „bronią” była właśnie Bu. A teraz czekał na niego dobry duch w postaci Lili. Problem polegał na tym, że on, Brody Taggert, nie był pewien, czy chce żyć; czy chce chwycić linę ratunkową. Może woli mieć zamrożone serce, takie, którego nikt i nic nie jest w stanie zranić.

- Daj znać, chłopcze, gdybym mógł ci w czymkolwiek pomóc - dodał Hutch.

- Dobrze. Dzięki - odparł Brody, wiedząc, że nigdy o pomoc nie poprosi.

- Panie i panowie, Snow Mountain wita was serdecznie i świątecznie.

Chórzystki z kościoła baptystów weszły po schodkach na scenę. Ubrane w długie czerwone szaty, niosły przed sobą zapalone świece. Reszta parku pogrążona była w mroku. Goście, którzy przyjechali nawet ze Spokane i Coeur d'Alene, stali stłoczeni przy ogrodzeniu.

Lila rozglądała się wkoło. Nigdzie nie widziała Brody'ego. Nie rozmawiała z nim od tamtego dnia, kiedy opowiedział jej o swoim bracie, ale przecież obiecał, że zjawi się na uroczystym otwarciu. A Brody Taggert nie łamał słowa. Na samą myśl o nim zadrżała.

Kobiety z chóru zaczęły występ od mało znanej nastrojowej kolędy o migoczącej choince. Po pierwszych słowach na drzewie, które Brody ściął w lesie, zapaliły się niebieskie lampki. Wkrótce na czubku zaśniła srebrzysta gwiazda.

Przy drugiej kolędzie rozblęły światełka na innych drzewach, na ogrodzeniu, na scenie. Tłum szalał, bił brawo.

Następnym utworem był słynny przebój o czerwono nosym reniferze Rudolfie. Blask reflektorów padał kolejno na zwierzęta. Jeden renifer wierzgał, drugi skrobał nogą ziemię, trzeci poruszał niecierpliwie łbem.

Gdzie Brody? Nawet taki cynik jak on byłby zachwycony tym wspaniałym spektaklem.

Przy pieśni o Mikołaju, który jedzie na saniach do miasteczka, zaświeciły się elfy. Jeden wsadzał prezenty do pudła, drugi pakował pudło w papier, trzeci obwiązywał je

tasiemką, czwarty dłużej w nosie. Publiczność ryknęła śmiechem. Elf wytrzeszczył oczy, po czym się zaczerwienił.

Nagle w parku ponownie zgasły światła, paliły się jedynie świece. Pojedynczy głos zaintonował „Cichą noc”, po chwili dołączyły pozostałe chórzystki, a do nich widowie. Cały park i ulica rozbrzmiewały kolędą.

Po ostatnich słowach zapaliły się wszystkie światełka i nastąpił ogłuszający aplauz. Kobiety zeszły po schodkach, na scenie został ogromny tron.

- A gdzie Święty Mikołaj? - spytał dziecięcy głosik, którego nie było w scenariuszu.

I wtem zza sceny wyszedł, pozdrawiając dużych i małych, najprawdziwszy Mikołaj z wielkim worem prezentów. Wprawdzie Brody twierdził, że Mikołaj nie istnieje, ale gdyby istniał, na pewno wyglądałby jak Karl Jamison.

Brody do końca życia będzie żałował, że przegapił ten spektakl, pomyślała Lila, ponownie rozglądając się wkoło.

- Cześć, dzieciaki! - zawołał Karl tak gromkim głosem, że maluch w pierwszym rzędzie zapłakał wystraszony. - Ho, ho, ho!

Karl Mikołaj zajął miejsce na tronie, a Jeanie Harper otworzyła furtkę, którą podniecone dzieci mogły wejść na scenę, usiąść Mikołajowi na kolanach, wyjawić mu swoje tajemnice, opowiedzieć o planach i marzeniach.

- Gratuluję, Lilo. Musisz być z siebie dumna. Rozpoznał głos Jade Flynn, Lila obróciła się do kamery i uśmiechnęła promiennie.

Gdzie się podziewa Brody? Obiecał przyjść... Może stoi na uboczu, czeka, aż ekipa telewizyjna odjedzie?

Lila skupiła się na rozmowie z Jade; opowiedziała dziennikarce, jak to wszyscy w miasteczku się sprężyli, aby świąteczna ekspozycja znów stanęła w parku.

- Chciałam podziękować miejscowej policji za Świętego Mikołaja, funkcjonariuszowi Brody'emu Taggartowi za znalezienie nam przepięknego drzewka, pracownikom ratusza oraz wszystkim ludziom, którzy przysyłali datki, listy i karty. Oni wszyscy sprawili, że w święta w Snow Mountain ocalały.

Może teraz Brody przestanie wreszcie otrzymywać listy z wyzwiskami? Choć ją podejrzewała, że niekoniecznie ucieszy się z jej wstawiennictwa.

Dziennikarka zadała jeszcze kilka pytań, po czym ekipa odjechała. Brody'ego nadal nie było. Lila przeszła do straganu, na którym rozdawano chętnym gorącą czekoladą. Pomagając nalewać napój do styropianowych kubeczków, przypominała mieszkańcom, że dzisiejszego wieczoru wszystkie sklepy pracują dłużej.

Wreszcie kolejka dzieci do Świętego Mikołaja skończyła się, goście ruszyli po świąteczne zakupy.

A Brody wciąż się nie pojawiał.

Lila postanowiła zaczekać jeszcze kilka minut. Usiadłszy na ławce, otuliła się ciasniej kurtką i patrzyła na barwną ekspozycję. W nocy ekipa techniczna przywiezie do parku mechanicznego Mikołaja i umieści go na tronie, na którym dziś urzędował Jamison.

Kątem oka dostrzegła w mroku jakiś ruch. Serce zabiło jej mocniej. Ale to nie był Brody, to była ciotka Marla. Usiadła obok niej na ławce.

- Jakie to piękne. Piękniejsze, niż zapamiętałam. Dziękuję, kochanie. Bez tych elfów i reniferów Snow Mountain byłoby znacznie uboższe.

Lila uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Ciociu... - zawahała się. - Czy Brody'emu nagle wypadł dyżur?

Zauważyła, że ciotka z trudem powstrzymuje łzy.

- Coś mu się stało? - zaniepokoiła się.

- Bu nie żyje - odparła Marla, przecierając oczy.

- Boże - jęknęła Lila; miała wrażenie, że żelazna obręcz zaciska się wokół jej serca.

- Ale jak...

- Brody powiedział Paulowi, że miała raka. Dlaczego słowem jej o tym nie napomknął?

- A on... jak się trzyma?

Ciotka pokręciła głową.

- Kiepsko.

Lila wstała z ławki.

- Pójdę do niego. Nie powinien być sam.

- Daj mu trochę czasu, kochanie. Nie sędzę, aby miał ochotę na towarzystwo. On nie cierpi współczucia.

Przypuszczalnie ciotka wie, co mówi. Dłużej znała Brody'ego. Mimo to Lila była niepokieszona: naprawdę Brody woli cierpieć w samotności? Z drugiej strony, gdyby chciał ją mieć przy sobie, mógł zadzwonić. A on nawet nie zająknął się o chorobie Bu.

Jedna randka nie oznacza, że spędzą z sobą resztę życia. Kiedy jednak powierzał jej swoją największą tajemnicę, miała wrażenie, że zdobyła jego zaufanie. Jeśli tak, to dlaczego do niej nie zadzwonił?

Zrezygnowawszy z rajdu po otwartych sklepach, Lila udała się do domu. Bez wahania sięgnęła po słuchawkę. Na drugim końcu linii włączyła się sekretarka automatyczna.

- Tu Tag. Zostaw wiadomość.

- Brody, to ja, Lila. Dowiedziałam się o Bu. Tak strasznie mi przykro. Zdążyłam ją pokochać. Odezwij się, proszę.

Nie zadzwonił. Podejrzewała, że dla nich obojga będą to bardzo ponure święta.

Miłość wymaga czasu, a oni za krótko się znali; ich znajomość najwyraźniej była zbyt powierzchowna, żeby Brody chciał dzielić z nią swój smutek, pokazywać jej swoje rany. Chociaż rozum to akceptował, serce się sprzeciwiało. Serce tęskniło, pragnęło być przy Brodym, towarzyszyć mu w jego bólu i samotności. Tęskniło i czekało, by zaprosił ją z powrotem do swojego świata.

Do książki Lila nawet nie próbowała usiąść.

Jak pisać o idealnych świętach, kiedy nie sposób wskrzesić w sobie odrobiny radości?

Zostały dwa dni do świąt. Brody siedział sam w domu i powtarzał w duchu, że tak jest dobrze; na nic innego nie zasługuje. Co najmniej tuzin razy odsłuchiwał wiadomość od Lili, odnajdując ukojenie w jej głosie. Chciał do niej zadzwonić, lecz nie chciał, by wiedziała go w takim stanie.

Żeby dorosły facet rozpaczał z powodu psa? Na miłość boską! Od śmierci Bu minął tydzień, a on nadal tkwił pogrążony w bólu.

Lila zasługuje na kogoś innego, lepszego. Na człowieka, który optymistycznie patrzy w przyszłość, rycerza, który jest silny i potrafi ją ochronić, ale jest również w stanie odłożyć na bok zbroję i miecz.

Tysiące razy przeleciał pilotem po trzystu kanałach w telewizji - nienawidził cikliwych programów nadawanych o tej porze roku! Gdyby chociaż mógł popatrzeć na mecz hokeja albo piłki nożnej! Zdegustowany zgasił odbiornik, rzucił pilota w kąt, po czym zszedł do piwnicy i wyciągnął pudło. Otworzył je, choć sam nie był pewien dlaczego.

Rysunki Ethana. Wziął je do ręki. Czemu nie? Już i tak był przygnębiony.

O dziwo, zamiast się pogłębiać, jego przygnębienie zaczęło ustępować. Z każdym obejrzanym rysunkiem czuł, jak lód w jego sercu odrobinę topnieje.

Jeziro, zawieszona na gałęzi stara opona służąca za huśtawkę, stodoła o zmierzchu, bielizna susząca się na linie, dwaj chłopcy z nogami dyndającymi w wodzie, którzy siedzą na chybotałej kładce i łowią ryby. W tych szkicach Ethan zawarł nie tylko istotę ich beztroskiego dzieciństwa, ale istotę ich samych: dwóch kochających się braci, których łączy niezwykła więź.

Na samym dnie pudła Brody znalazł portret Darli. Zerknął na niego obojętnie, równie obojętnie jak patrzył na Darlę, kiedy mijała go w dużym samochodzie załadowanym dziećmi, ale nagle coś przykuło jego uwagę. Tak jak na wcześniejszych rysunkach Ethan uchwycił istotę ich obu, tak na tym uchwycił istotę Darli.

W owym czasie Darla jawiła się Brody'emu jako ideał dziewczyny: mocno umalowana, skąpo ubrana, zawsze gotowa do figli na tylnym siedzeniu samochodu. Na rysunku Ethana patrzyła w dal, w jej twarzy były zaduma i niewinność.

Ethan dostrzegł prawdziwą Darlę: dziewczynkę, która na siłę udaje kobietę. Dziewczynkę o takich samych marzeniach, jakie mają dzieci, które teraz wozi na mecze hokeja. Pragnęła miłości, rodziny, tego, czego Brody nie zamierzał jej dać. Ethan, baczny obserwator ludzi i życia, z miejsca to zauważył. Wiedział, że brat nie zasługuje na Darlę.

Miał rację. W Brodym buzowały hormony, odbierały mu rozum i czyniły go egoistą.

Trzymając w ręce rysunek, Brody niemal wbrew sobie wrócił myślami do tamtych chwil nad jeziorem. Nagle przejrzał na oczy i zrozumiał swój błąd: Ethan wcale nie próbował udowodnić Darli, że jest lepszym, szlachetniejszym człowiekiem.

Po prostu taki był. Dostrzegłszy niewinność Darli, pragnął ją chronić. A rzut oka na brata uzmysłowił mu, że Brody nie skoczy do wody po jakiegoś szczeniaka.

Niestety dopiero po śmierci brata Brody zmądrzał. Zrozumiał, że życie nie składa się z samych przyjemności. I nie on jest najważniejszy. Postanowił zrobić coś pożytecznego, służyć miastu, jego mieszkańcom. Daleko mu było do ideału.

Ale przynajmniej nie patrzył krytycznie na dziecko, które kradnie w sklepie grę dla brata. Bo wiedział, co to znaczy miłość do brata.

Przynajmniej rozumiał, czym jest przywiązanie psa do człowieka i człowieka do psa.

Przynajmniej spoglądając na Lilę, widział nie tylko jej powierzchowność, ale i wewnątrz.

Lecz czy na nią zasługiwał? Tego nie był pewien.

Odłożył portret Darli na miejsce i wyjął ostatnie dwa rysunki. Były niesamowite.

Pierwszy, wykonany węglem, przedstawiał chatę na zboczu, lecz patrząc na nią, słyszało się docierający ze środka śmiech chłopców, obecnie już mężczyzn, którzy spędzali tu mnóstwo czasu na zabawie, rozmowach, zadumie.

Ostatni zaś, jedyny kolorowy rysunek, przedstawiał krzak poziomek. Owoce, intensywnie czerwone i soczyste, wystawały spod szerokich ząbkowanych listków. Brody niemal poczuł w ustach ich smak. I zdecydowanie czuł zapach. Odłożył rysunki brata do pudła, wszystkie prócz dwóch ostatnich. Krzak poziomek zamierzał oprawić i podarować matce, kiedy w styczniu wybierze się do rodziców.

- Dawałeś więcej, niż brałeś.

Nie wiedział, do kogo skierował te słowa, do brata, do Bu czy do nich obojga. Ale wiedział jedno: chociaż był w domu sam, już nie czuł się samotny.

Teraz jest jego kolej: żeby dać, podzielić się. Ma mnóstwo do zrobienia, a do świąt został tylko jeden dzień. Oczywiście wolałby się wszystkim zająć na spokojnie, a nie w tłumie rozgorączkowanych facetów, którzy wszystko zostawiają na ostatnią chwilę.

Po raz pierwszy od śmierci Bu poczuł leciutkie ukłucie radości. I pomyślał, że może jednak mu się uda; może jeszcze zazna szczęścia.

Wigilia. Najgorsza z wszystkich dotychczasowych, uznała Lila. Och, sklep okazał się strzałem w dziesiątkę, a sprzedaż w internecie wzrosła w ciągu roku o pięćdziesiąt trzy procent.

Na brak pracy nie narzekała. Mieszkańcy bez przerwy wpadali jej podziękować za ocalenie świąt w Snow Mountain. Napływały też dziesiątki mejli od obcych ludzi, którzy oglądali nakręcony przez Jade Flynn reportaż z otwarcia Pracowni Świętego Mikołaja.

Ale z książką nie posunęła się ani trochę. W dodatku minął termin oddania tekstu i nie bardzo widziała sens przedłużania umowy. Nie miała nic do powiedzenia na temat idealnych świąt.

Teoretycznie jej świętom niczego nie brakowało. Mieszkała w pięknie przystrojonym domu, interes kwitł, w parku stały wyremontowane i odmalowane elfy, kolorową ekspozycję przyjeżdżali oglądać goście z całego Waszyngtonu i sąsiedniego Idaho. Ale nie czuła świątecznego ducha.

Tęskniła za Brodym. Marzyła o tym, żeby wdrzeć się w jego świat, nie zważając na jego sprzeciw. Lecz nie mogła tego zrobić. Z doświadczenia wiedziała, jak to jest być obiektem niechcianej adoracji. Miałaby się zachować jak jej prześladowca? Przecież Brody najlepiej wie, czego potrzebuje. Jeżeli samotności, powinna to uszanować.

Kiedy się kocha, nie należy myśleć o sobie. Kiedy się kocha, trzeba szanować drugiego człowieka, jego potrzeby i pragnienia.

Wiedziała, że Brody do niej nie przyjdzie; to nie leżało w jego naturze. Stojąc przed ogromną choinką w salonie, poczuła, jak oczy zachodzą jej łzami.

- Pragnę jego szczęścia - szepnęła. - Chcę, żeby był szczęśliwy, nawet jeśli mnie nie wybierze.

O, właśnie na tym polega duch świąt. I na tym polega miłość.

To nie bombki i łańcuszki są ważne, nie migoczące światełka, skradzione pocałunki i żar bijący z ciała. Ważne jest dawanie, dzielenie się, troska, bezinteresowność.

Popatrzyła na wiszącą na choince skarpetę z wystającym Brzydaskiem, który z wyglądu przypominał Bu. Zdjęła go z gałązki i wsunęła do kieszeni swetra.

Poprosi wuja, aby podarował go od niej Brody'emu. Aby Brody wiedział, że o nim myśli i życzy mu dobrze.

Dotykając pluszowego psiaka, który kosztował niecałe cztery dolary, miała wrażenie, że to najdroższy podarek, jaki kiedykolwiek komuś dała. Najdroższy, bo prosto z serca. Bo niczego nie oczekiwała w zamian.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Nawet nie podskoczyła. Uśmiechnęła się zadowolona. Przestała się bać. Przeszła przez salon i nie przytykając oka do judasza, otworzyła drzwi na oścież.

Z trudem powściągnęła łzy. Nie sądziła, że los tak szybko wynagrodzi ją za jej bezinteresowną miłość.

Bo oto w progu stał Brody Taggert i patrzył na nią tak, jak tego pragnęła. Tak jak patrzy mężczyzna, który stoczył wiele ciężkich bitew, ale wreszcie wrócił do domu.

- Cześć - szepnęła, delikatnie gładząc go po policzku. - Przykro mi z powodu Bu.

Nie cofnął się, nie uciekł przed dotykiem.

- Wiem. Dziękuję.

- Wejdiesz?

- A ty wyjdiesz? Chciałbym ci coś pokazać.

Poczekał, aż Lila włoży buty i kurtkę, po czym ruszyli do furgonetki. Otworzywszy drzwi, wręczył Lili małą srebrną torebkę z białą wstążką. Zajrzała do środka. Zobaczyła flakonik perfum ogłoszonych zapachem roku. Musiały kosztować bająnską sumę.

Poczuła zawód. Nie używała perfum. Zastanawiała się, jak podziękować za prezent, którego nie chciała i który świadczył o tym, że Brody niezbyt uważnie słucha tego, co ona mówi, ale on pierwszy się odezwał:

- Potrzebuję twojej rady. Kobieta w sklepie powiedziała, że powinny spodobać się młodej dziewczynie. Jak myślisz? Nadają się dla piętnastolatki?

Zamurowało ją.

- Mówisz o piętnastolatce, która wzięła ze sklepu coś, co do niej nie należało? O dziewczynce, która bardzo kocha swojego brata?

Speszony, skinął głową.

- Tak.

- Myślę, że to idealny prezent - powiedziała.

- Jesteś pewna? - Zmarszczył czoło.

- Na sto procent. - Za to, co uczynił, kochała go jeszcze mocniej.

- To dobrze. Chciałem usłyszeć twoje zdanie, bo ci ufam.

- A to co? - Wskazała na drugą paczuszkę, niezdarnie owiniętą, która miała wielkość i kształt gry wideo.

- To? Nic.

Łzy napłynęły Lili do oczu, albowiem wreszcie ujrzała prawdziwego Brody'ego Taggerta. Nie takiego, za jakiego chciał uchodzić, ale takiego, jakim był naprawdę, bez maski i bez pozy.

- „Wieża buntowników”? - spytała cicho.

Przestąpił z nogi na nogę, ale milczał.

- Mogę z tobą jechać? Popatrzeć, kiedy będziesz je wręczał? Co, Mikołaju?

- Nie jestem Mikołajem - warknął. - I mam kiepski nastrój.

- Nie szkodzi. Nie musisz się do mnie odzywać.

Teraz już była mądra. Wiedziała, co trzeba zrobić, żeby mieć idealne święta: znaleźć kogoś, kto potrzebuje miłości i prezentów, następnie hojnie tę osobę obdarować. Nie oczekiwać niczego w zamian. Nie zastanawiać się, co ja z tego będę miała.

Westchnęła błogo. Tak, na tym polega duch prawdziwych świąt.

Miał wątpliwości, czy słusznie postąpił, zabierając z sobą Lilę. Znajdująca się w centrum ulica Clements, na której stały stare rozpadające się domy, nie pasowała do jej romantycznej wizji świąt.

Zatrzymał się przed taką właśnie obdrapaną rudera o przekrzywionym ganku. Na końcu ścieżki prowadzącej do drzwi wisiała elegancka mosiężna tabliczka z nazwiskiem lokatorów: Rodzina Murphych.

Brody wyjął prezenty i podszedł do domu; nie naciskając dzwonka, położył je na ganku, po czym wrócił do auta.

- Jesteś wspaniały, Brody - powiedziała Lila, kiedy wsunął się za kierownicę.

- E tam - mruknął. - Ale może dzieciaki będą miały chociaż trochę radości.

Odjechał. I nagle, mimo że wcale nie zamierzał, znalazł się na wysokości parku Bandstand. Zwolnił, a po chwili zaparkował przy krawężniku.

- Świetnie to wygląda. Wiesz, nie wyobrażam sobie świąt bez tych kiczowatych elfów - przyznał. - Wprowadzają radosny nastrój. I nie trzeba płacić za żaden bilet wstępu.

- W następnym roku wymyślimy coś ekstra. Może...

- Mam coś dla ciebie - rzekł, nie dając jej dokończyć. - Taki drobiazg - dodał nieśmiało. - Tylko kiepski ze mnie pakowacz.

Jedyny dekoracyjny arkusz, jaki znalazł w domu, wykorzystał do zapakowania „Wieży buntowników”, toteż prezent dla Lili owinął w zwykły szary papier, a całość obwiązał sznurkiem.

Wręczył Lili podarek.

Rozpakowywała go ostrożnie, delikatnie, jakby w środku znajdowała się cenna porcelana. Po chwili wstrzymała oddech, jej oczom bowiem ukazał się oprawiony rysunek chaty na śnieżnym zboczu, w której spędziła z Brodym noc.

- Boże, jaki piękny - szepnęła. - I jak doskonale oddaje nastrój tego leśnego zaciszka. - Po chwili spojrzała na podpis w rogu. - Ethan.

Brody przyglądał się jej w milczeniu. I nagle uświadomił sobie, co tak naprawdę chciał tym prezentem wyrazić. Wykonanym przez brata rysunkiem zapraszał Lili do swojego życia, do życia, które ma przeszłość i teraźniejszość, w którym jest jasność i mrok, radość i smutek.

Uświadomił sobie również, że bycie silnym nie zawsze oznacza zaciskanie zębów i nieokazywanie emocji. Czasem największej siły wymaga zdjęcie zbroi, zaprzestanie walki, wrażliwość na cudze cierpienie.

Trzeba umieć powiedzieć: kochałem i byłem zraniony, ale nie boję się bólu. Jestem gotów zaryzykować. Bo żyć bez ciebie oznacza żyć w miejscu pustym i mrocznym, w piekle.

Wnętrze furgonetki wypełnił intensywny zapach poziomek.

Patrząc Lili głęboko w oczy, Brody zobaczył zrozumienie. Ta kobieta przejrzała go na wylot. Nigdy nie będzie w stanie niczego przed nią ukryć, żadnej słabości, lęku,

przywary. Jeżeli kiedykolwiek się zgubi, wystarczy, by ponownie spojrzeć jej w twarz, a wtedy szybko się odnajdzie.

Miłość w jej oczach nie wystraszyła go, przeciwnie, dodała mu skrzydeł. Poczł się jak zmęczony żeglarz podczas burzy, który nagle dostrzega błysk latarni morskiej; który płynie w jej kierunku, wiedząc, że tam wśród światełek na lądzie odnajdzie swój dom, swoją cichą bezpieczną przystań.

Bu od początku wiedziała; na sam widok Lili okazywała radość. Nie bała się odejść, skoro zostawiała go w dobrych rękach.

Miłość nie jest prostą sprawą. Nie daje człowiekowi gwarancji, czasem sprawia cierpienie.

Wtem poczuł, jak Lila wciska mu coś do ręki. Zniżywszy wzrok, zobaczył brzydkiego pluszowego pieska, który zamiast bombki wisiał u niej na choince i który z wyglądu przypominał Bu. Z trudem powstrzymując łzy, zawiesił psiaka na lusterku.

Tak, wszystko jasne. Woń poziomek... Rysunki brata. Po prostu Ethan od dawno próbował dać mu znak: żyj, stary. Nie oglądaj się wstecz.

Miłość. Nic innego się nie liczy. Pieniądze przychodzą i odchodzą, lecz miłość zostaje i na zawsze zmienia tych, którzy poznali jej smak. Ethan nie żyje, ale jego pamięć nigdy nie umrze.

- Wiesz... - Brody popatrzył na rozświetlony park - na pogrzebie Ethana pastor powiedział, że miłość nierozzerwalnie wiąże się z cierpieniem i stratą. Bardzo długo w to wierzyłem. Ale teraz wiem, że nawet jeśli zginie ukochana osoba, pozostaje po niej pamięć.

Pomyślał o Ethanie, o jego szlachetnej naturze, szczodrości, poczuciu honoru, sposobie patrzenia na świat i ludzi. Wcześniej rozpamiętywał jego śmierć i własny ból, dopiero teraz potrafił skupić się na wspaniałych cechach brata. Wreszcie mógł się wyzwolić od przeszłości, postąpić krok naprzód, bez oglądania się wstecz.

- Ethan chciałby, żebym cieszył się życiem. A zwłaszcza żebym poznał smak miłości.

Lila westchnęła cicho. Wiedział, że go rozumie.

- Lilo, przysuń się do mnie - poprosił.

Uczyła to z ochotą, jakby całe życie czekała na te słowa. Objąwszy ją, przywarł ustami do jej ust.

- Kocham cię - rzekł głosem ochrypłym ze wzruszenia, po czym wrzucił bieg i ruszył w przyszłość, w przyszłość pełną roześmianych dzieci skaczących po sianie.

Nie bał się przyszłości, nie bał emocji.

Słowa, które wypowiedział, napełniły go szczęściem, a gdy po chwili Lila je powtórzyła, jego szczęście nie miało granic.

TLR

EPILOG

- Colby Ethanie Taggercie! Proszę natychmiast zejść ze stryszku.

Cisza.

- Nie żartuję.

Przy drabinie pojawiły się pulchne nóżki jej trzyletniego syna. Lila wstrzymała oddech. Chłopczyk wymacał górny stopień.

A przecież odwróciła się dosłownie na moment, szukając wzrokiem sanek. Malec uwielbiał ten stryszek. Ciągłe się tam wspinał, a potem gawędził ze swoim wyimaginowanym przyjacielem.

Colby zlął po drabinie jak małopka i z niewinną miną popatrzył na matkę.

Był żywą kopią ojca. Potargane ciemne włosy poprzetykane sianem i brązowe oczy ze złotymi refleksami. Odważny, uroczy mały diabełek, któremu nie sposób się oprzeć. A miał dopiero trzy lata. Pewnie w wieku czternastu lat wszystkim koleżankom będzie łamał serca.

- Mamusiu, na górze są kotki.

- Naprawdę?

- Tak. Pokażę ci, chodź.

Popatrzwszy na drabinę, Lila przyłożyła rękę do swojego wielkiego brzucha - z jazdy na sankach musiała na razie zrezygnować - po czym ruszyła na górę. Na moment przystanęła, czekając, aż jej oczy przyzwyczają się do półmroku. I faktycznie, po sianie hasały trzy kociaki, czarny, rudy i trójkolorowy.

Po chwili cała stodoła rozbrzmiewała wesołym śmiechem. Brody odetchnął z ulgą. Kiedy bowiem wszedł do pustego domu, ogarnął go niepokój. Czyżby Lila zaczęła rodzić? Po chwili jednak przypomniał sobie, że chciała, aby po powrocie z pracy wybrał się z małym na sanki; pewnie poszła po nie do stodoły.

Po cichu wspiął się po drabinie. Przez moment, niezauważony, obserwował żonę i syna bawiących się z kociakami. Jak to możliwe, że każdego dnia Lila jest coraz piękniejsza? I jak to możliwe, że każdego dnia można kochać coraz mocniej?

Pierwszy spostrzegł go Colby. Z okrzykiem radości rzucił się ojcu w ramiona. Brody zaparł się, aby przypadkiem entuzjastyczne powitanie syna nie skończyło się upadkiem.

- Tatuś!

Słyszając to słowo, najwspanialsze słowo na świecie, zawsze czuł się wielki, silny, niepokonany. Wkrótce zaś zostanie ojcem po raz drugi. Według obliczeń lekarza - w dzień Bożego Narodzenia.

Uśmiechnął się do żony. Jeszcze nie tak dawno temu był zupełnie innym człowiekiem, człowiekiem, który nienawidził świąt. Pamiętał, co powiedział pastor: miłość prowadzi do cierpienia, do straty.

Pastor się jednak mylił. Miłość na każdym zostawia trwały ślad, czyni ludzi lepszymi.

Miłość to dar, pomyślał Brody, tuląc syna do piersi. Dar, który jego dzieci kiedyś przekażą innym.

- Jak się miewa autorka najlepszych bestsellerów na świecie? - spytał, z synem na rękach podchodząc do żony.

Usiadł obok niej na sianie. Nigdzie się nie spieszył. Dom jest tam, gdzie ona.

Przysunąwszy się, pocałowała go lekko w usta.

- Faj! - skrzywił się Colby.

Wybuchnęli śmiechem. Potem zaczęli rozmawiać o zwykłych codziennych sprawach: o starym domu, który został odnowiony na przyjazd rodziców Brody'ego; o kartce od Jeanie i Karla Jamisonów z Australii; o Amandzie Murphy, obecnie już dwudziestoletniej, która prowadziła doskonale prosperujący sklepik „Pod Jemiołą” i przeżywała swoją pierwszą miłość; o Mike'u Stevensie, który niechcący wrzucił do sedesu plakietkę z napisem „Cierpliwości, jestem tu nowy” i zalał cały komisariat.

Normalne sprawy, normalni ludzie, normalne życie. Normalne, a tak wyjątkowe.

Brody zamknął oczy, rozkoszując się tą chwilą błogości.

- Sprawiasz wrażenie szczęśliwego - szepnęła Lila, opuszkami palców gładząc go po policzku.

- No cóż, jak wiesz, tak na mnie działają święta - odparł z szerokim uśmiechem.